

I 1.467.608

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

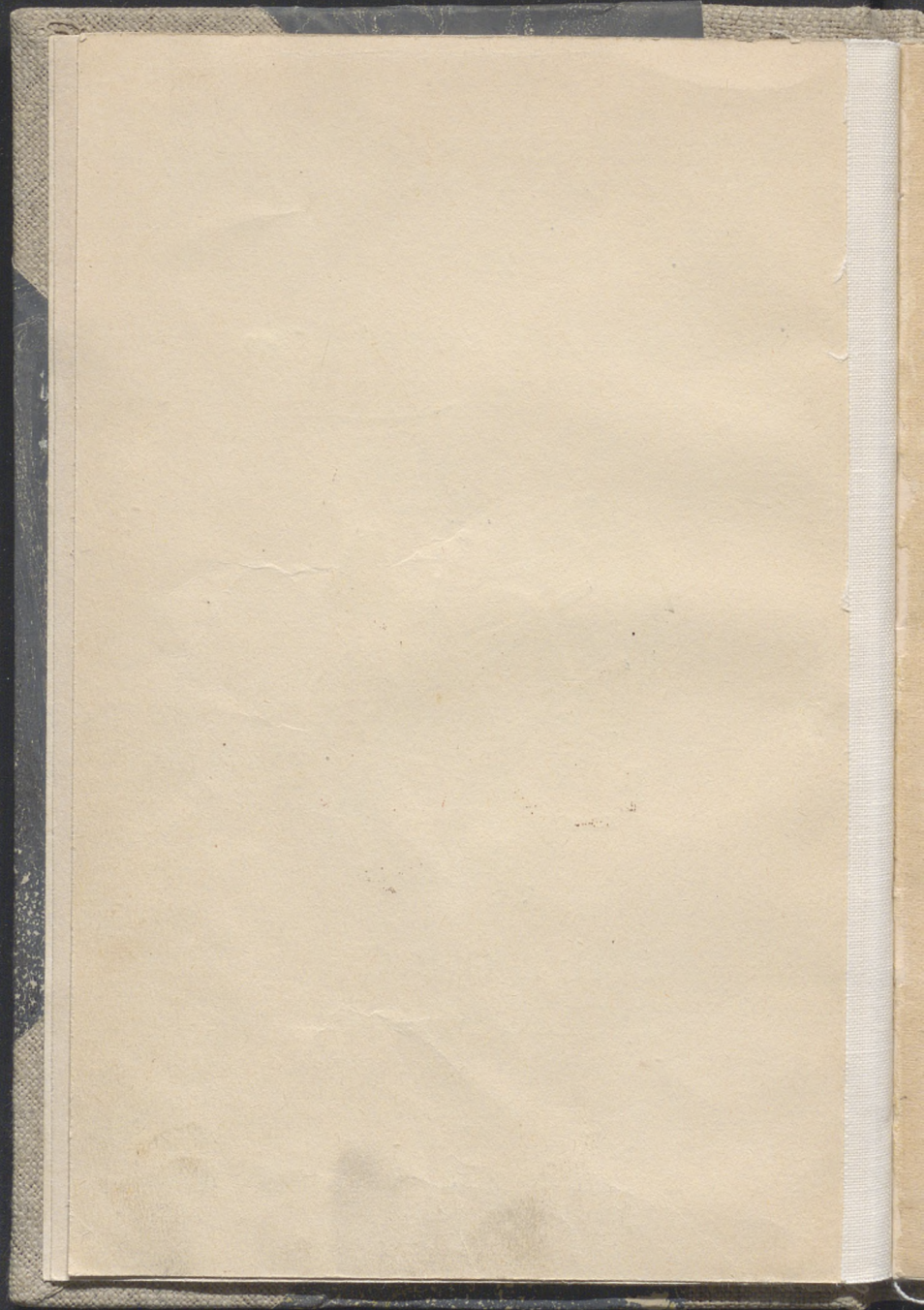
26

HALINA GÓRSKA



CHŁOPCY
Z ULIC MIASTA

GEBETHNER I WOLFF



1

CHŁOPCY Z ULIC MIASTA

Z CYKLU:

W JEDNYM SZEREGU

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

HALINA GÓRSKA

1947
CHŁOPCY
Z ULIC MIASTA

CENTRALNA
Biblioteka Pedagogiczna
przy Kuratorjum O. S. Brzeskiego
Dział 7 No 7341



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

T R E Ś Ć:

	Str.
Chłopy z ulic miasta	5
Opiekunowie, pan Piotr i pan Piotruś	15
Wspaniała zabawa	28
Cygan	46
Dom	62
Franek orze	67
„Fraternitas“ — planeta braterstwa	76



I 1.467.608



1 9 3 4

Druk. A. Białobrzeskiego, Warszawa, Tarczyńska 4. Tel. 680-20.

1990 K242/10

CHŁOPCY Z ULIC MIASTA.

Ojciec Mańka i Felka jest już od roku bez pracy. „Fasują“ bony, ale czy z tego można wyżyć? Żeby nie Maniek, który sprzedaje „Poranną“ i Felek, który służy u jednej straganiarki, byłoby źle.

Matka Józka jest praczką, a ojczym robi w browarze. W domu jest co zjeść, ale na książki i na zeszyty ojczym nie chce dawać. Nie chce mu także niczego sprawić i matce nie pozwala. Więc Józek sprzedaje gazety, żeby sobie zarobić „na tę książkę, czy bucik“.

Fedkę macocha wygnała z chałupy i przyszedł do Lwowa „na służbę“. Sypia w piecu starej cegielni, myje ławki przekupkom na rynku, czeka przed dworcem na walizki — jak się da.

Pepi Glückauf ma tylko babkę. Babka martwi się bardzo, że „na to już przyszło“, że Pepi musi gazety sprzedawać. Bo oni są „z lepszej rodziny“ i mieli własny domek za rogatką gródecką, a dziadek był kolejjarzem. Kiedy Pepi wychodzi z domu, babka zawiązuje mu szalik naokoło szyi, żeby się nie

przeiębił i zaklina go, by „nie zadawał się z łobuzami“ i nie uczył brzydkich wyrazów.

A Kazik, to nie ma nikogo na świecie, oprócz jakiegoś wujka w Glińsku, który „nie chce o nim nawet słyszeć“. Chłopcy mówią o Kaziku, że chodzi na „miaukoty“*), a nawet „na lewo“**), ale Kazik mówi, że to nieprawda.

Ciotkę Stefka zredukowali na poczcie i Stefek nie chodzi już do gimnazjum. Jest chłopcem na posyłki w jednym sklepie kolonialnym. Do świetlicy przychodzi, „bo można tu pożyczyć książkę i dowiedzieć się czegoś ciekawego“.

A Wacek jest łobuz — „zwyczajny łobuz“. Matka nie chce, żeby biegał z „Expressem“. Matka chce, żeby się uczył i na człowieka wyrósł. Ale Wacek lubi kino, czekoladę i papierosy.

Salek nie ma ojca, tylko sparaliżowaną matkę. Matka leży cały dzień sama, a ci ludzie, u których mieszkają kątem, „to są takie bez serca, że jej nawet tej szklanki wody nie podadzą“. Salek musi przed wyjściem zostawiać jej jedzenie przy łóżku. Salek sprzedaje „Poranną“ i „Expres Wieczorny“, a oni mieszkają aż na Lewandówce***). Do domu nie może wrócić przed północą. Kupuje więc za pierwsze zarobione pieniądze, póki jeszcze sklepy są otwarte, du-

*) „miaukoty“ — w języku dzieci ulicy: żebrania.

**) „na lewo chodzić“ — kraść.

***) Lewandówka — jedno z przedmieść Lwowa.

ży bochenek chleba, czasem zaś trochę kaszy, herbaty, czy cukru. A że nie może z tem przecie biegać po mieście, chowa to w sobie tylko wiadomej kryjówce, w śniegu, pod pomnikiem Mickiewicza.

Ale wszystkich chłopców niepodobna i tak wyliczyć, choć powinno się właściwie to zrobić, bo każdy jest inny. Są między nimi łobuzy i „porządni“, „miaukacze“ i „honorowi“, pracowici i leniwi, uczciwi i „chodzący na lewo“.

Są tacy, którzy przychodzą do świetlicy tylko wtedy, gdy jest zimno, albo gdy są głodni i tacy, którzy czekają już na podwórzu na otwarcie i opuszczają świetlicę dopiero wieczorem. Tacy, którzy wpadają, by zmienić książki lub posłuchać pogadanki i tacy, których przyciągają tylko gry i zabawy. Był nawet jeden, który przychodził z powodu szuflady.

Zauważył, że w jednym stole jest pusta szuflada z kluczem i poprosił, żeby mu ją dać. Schował do niej zeszyt, sznurek, złamany scyzoryk, kawałek drutu i lanekę. Zamknął ją na klucz i poszedł. I odtąd codzień przychodził, sprawdzał, co w niej jest, zamykał i odchodził.

Widać, było mu przyjemnie posiadać własną szufladę...

Ale wszyscy chłopcy, wszyscy bez wyjątku, nawet ci najporządniejsi i najspokojniejsi brali udział w bójkach.

Bo z początku bójki wybuchały w świetlicy prawie codziennie.

I bito się nie „na żarty“ i nie poto, żeby się „siłować“, ale — naprawdę.

Uderzano twardo, mocno, bezlitośnie. Pięścią w nos, głową o ścianę, kopnięciem w brzuch. I kiedy już jeden z chłopców leżał na ziemi, trudno było jeszcze oderwać od niego zwycięzcę.

Bito się pojedynczo, albo grupkami: starsi z małymi, Polacy z Rusinami, Polacy i Rusini z Żydami, ci, którzy nosili czerwone czapki z tymi, którzy ich nie nosili. Rozmaicie.

Panna Joasia „dziwiła się bardzo“.

Panna Joasia „nie mogła tego zrozumieć“.

Przecież pojedynczo, każdy z nich był bardzo „miłym“ i „dobrym“ chłopcem, nie różniącym się niczem od wszystkich innych chłopców. Można z nim było pomówić o tem, jak powinno być urządzone życie w świetlicy, żeby wszystkim było dobrze i miło i o „sprawiedliwości“ i o „braterstwie“ i o „koleżeństwie“. Ale wszyscy razem stawali się dziką i rozhułkaną bandą, której nie można było poskromić inaczej, niż siłą. I panna Joasia ze wstydem i żalem musiała przyznać, że o wiele więcej wpływu i posłuchu od niej miał pan Piotr, który nie mówił ani o koleżeństwie, ani o braterstwie, ale w krytycznych momentach, chwytając zapaśników za kołnierze i tłukł ich o siebie tak długo, aż oświadczali, że „mają dość“. A wtedy orzekał: „Tak wyglądają dwa byki, które chcą się bóść“...

Panna Joasia była tem bardzo zrażona.

Ale panna Joasia nigdy nie sprzedawała gazet na ulicy.

Jeżeli zaś spojrzeć na te rzeczy z pewnego od-
dalenia — to cóż? Wydaje się nawet, że to dość we-
sole zajęcie. Biegnie z paczką gazet i krzyczy sobie,
ile dusza zapragnie, a po drodze, to zaczepi kogoś we-
sołym lub zuchwałym żartem, to poślizga się po
zmarzniętym rynsztoku, to wskoczy do tramwaju, lub
uczepi się dorożki.

Ale w rzeczywistości, ten „wesoly gazeciarz“ nie
jest wcale taki wesoly. Bo paczka gazet, którą nie-
sie w rękę, ta paczka, tak lekka pozornie, gniecie nie-
znośnym ciężarem, jeśli pozostaje niesprzedana. Je-
go ochryply krzyk staje się wówczas wołaniem roz-
pacy i w późną noc, gdy przez ulice przewijają się
nieliczni tylko przechodnie, zmarznięty, śmiertelnie
znużony, zaczepia jeszcze:

— „Expres Wieczorny“!

Ale obok niego snuje się jak cień inny gaze-
ciarz, który także „poluje“ na ostatnich przechodniów.
Panna Joasia mówi — „koleżeństwo“.

Ale jeżeli gazety trzeba sprzedać i jeżeli tamten
wchodzi ci w drogę? Najtrudniej to jest zawsze z tem
koleżeństwem wtedy, kiedy na dwóch jest za mało
chleba. I nawet wogóle tam zaczyna się właściwie
trudność.

— Bo niech pan sobie np. wyobraz, — tłumac-
zyli panu Stachowi starsi chłopcy — że na jednym
rogu ulicy stoi ze swojemi pismami pan, a na drugim
taki mały, sześćioletni miglanc*), okropnie zabawny
w swojej czerwonej czapce z blachą.

*) miglanc — malec.

I obydwaj sprzedajecie, on i pan — interes idzie. Wtedy miglanc nietylko panu nie przeszkadza, ale nawet śmieszy pana, a jeżeli jest zimno, to go panu żal i myśli pan — biedny szkrab!

A teraz wyobraź pan sobie, że tylko pan zarabia, a on nie. Mały jest i nie umie sprzedawać.

Staął pod murem i maże się. Pewnie mu w domu skórę wygarbują. A pan sprzedał już tymczasem wszystkie swoje gazety.

Wtedy może nawet podejdzie pan do niego i wciśnie mu dziesiątkę w rękę — na i nie becz! A jeżeli jaki batiar*) będzie chciał go zaczepić, to go pan obroni.

No, jednym słowem, gdyby panna Joasia to widziała, miałyby się z czego cieszyć.

Ale przecież prawie zawsze bywa zupełnie inaczej: wszystkim jest żal dziecka i kupują tylko u małego. Kupują czasem nawet takie gazety, których nigdyby u dużego chłopca nie kupili. I nietylko kupują, ale nawet dają napiwki.

A taki już jest „wypraktykowany“, że do każdego inne minki robi i inaczej oczkami zawraca. A kiedy ze sprzedanych gazet i napiwków uzbierał już tyle, że ma więcej, niż gdyby sprzedał wszystkie gazety, proponuje przechodniom:

— Dzisiejsza gazeta za 5 groszy! Niebywała okazja! Dzisiejsza gazeta za 5 groszy!

**) batiar — andrus.

A pan stoi na swoim rogu zmarznięty na kość i schrypięty od krzyku i — nie. Ani jednego pisma!

Wtedy, to już się panu nie będzie na śmiech, ani na czułość zbierało! Obejrzy się pan dobrze, czy jaki klient nie nadchodzi, da pan bachorowi w kark i — won z mego rogu, albo ci jeszcze lepiej przyłożę!

A jak panu bardzo głód dokuczy i zmarzł pan, a nie ma pan 50-ciu groszy na nocleg, to się jeszcze pan z nim pieniędzmi „podzieli“. A potem bachor się w świetlicy skarży, a panna Joasia się dziwi...

Młodszy zaś chłopcy, to znowu tłumaczyli panu Stachowi tak:

— Takie starszy chłopak to myśli, że jemu trzeba we wszystkim ustąpić, bo przecież on większy i silniejszy. Wystarczy im się tylko przyjrzeć w świetlicy, a zaraz pan zmiarkuje, jaka jest ich sprawiedliwość.

Jeżeli jest jaka ciekawsza gra albo książka, to sobie zabierają, niby, że dla małych za trudna. I nie daj Boże, żeby im ktoś co ruszył!

Ale jak mali dostali piłkę, to im odebrali i zrobili sobie z niej football.

Jak oni mają z panem pogadankę, to małych wyrzucają na podwórko — powiadają, że mali nie rozumieją, kręcą się i przeszkadzają.

Ale jak panna Ela opowiada małym bajki, to wszystkie stare draby przychodzą słuchać...

Więc na ulicy jest też to samo i jeszcze gorzej, bo tam niema komu nas bronić. A oni mówią sobie tak: Naco takiemu miglancowi pieniądze potrzebne?

I zazdroszą, że my więcej zarabiamy. A jak np. taki Antoś sam jeden cały dom karmi? Ojciec chory, matka bez pracy i dwoje zupełnie małych szkrabów. Pieć gęb na niego jednego — no?!

Albo z Rusinami, czy Żydami... Gdyby gazety tak szły, żeby dla wszystkich było dość miejsca, to coby to komu szkodziło, że jakiś Moniek, czy Fed'ko też z nimi po mieście lata? Ale jak jest tak trudno się wyżywić, to zaraz przychodzi ta złość, że niby skąd oni i jakie ich prawo? Nie może to taki „Iwan“ na wsi siedzieć i krowy paść, a gnój rozrzucać? Albo taki „Icek“ cebulami na Krakowskiem handlować? To nie! Musi się im we łbach przewrócić i karjery zachciewać i taki „chłop z seła“, albo parszywy żydziak pcha się dzisiaj „Wiek Nowy“ i „Expres“ sprzedawać! Tak ma się rozumieć mówią Polacy. Bo Rusini, to powiadają, „że tych Lachów przydałoby się dobrze nauczyć“ i że jak jeden Lach u nich we wsi tak się rozpychał, to go het spalili — zboże, chałupę — wszystko. A Żydzi znowu powiadają, że oni są zawsze i we wszystkim pokrzywdzeni i że nawet w świetlicy, gdzie niby to ma być równość i sprawiedliwość, oni dostają najmniej osłodzoną herbatę, najgorsze gry i nieciekawe książki...

Bo ta złość i gniew i gorycz, która jest w chłopcach w ciągu całego dnia, nie może się przecież tak zaraz rozproszyć na progu świetlicy. A zresztą możeby się rozproszyła, gdyż każdy człowiek pragnie zaznać trochę spokoju, serdeczności i pogody, gdyby nie to... gdyby nie to... że w świetlicy jest tak ciasno.

W niewielkim pokoju tłoczy się przy stołach czterdziestu, a czasem i pięćdziesięciu chłopców. To też niema mowy o tem, by wszyscy jednocześnie mogli zasiąść przy stole i wypić herbatę, zorganizować jakąś wspólną zabawę lub otrzymać gry towarzyskie czy książki. Zawsze i o wszystko trzeba się pchać i wszystkiego domagać, a „frajer“, który nie umie energicznie puszczać w ruch łokci, nie dostanie niczego, albo dostanie to, czego już inni nie chcieli. A przysiętem, jeśliś jest rozdrażniony i bardzo zmęczony i ciągle musisz przepychać się w tłumie, to mimowoli szturchniesz mocniej tego i owego łokciem. Ale tamci są wszakże tak samo jak i ty zmęczeni i rozdrażnieni, więc napewno nie pozostaną ci dłużni i — bójka gotowa.

Panna Joasia „dziwiła się“, pan Piotr rozdziałał doraźne naucki, ale pan Stach — rozumiał.

Pan Stach mówił tak:

— Widzicie chłopcy, ja przecież wiem, że to jest bardzo trudno, żeby między wami była zgoda. Jakżeż może między wami być zgoda, jeśli między o wiele od was mądrzejszymi i starszymi ludźmi jej niema? Bo wszakże oni, tak samo jak i wy, kłócą się ze sobą o róg, na którym mogliby sprzedawać swoje gazety i o prawa do tego rogu, i o warsztaty, i o miejsce w szkole i uniwersytecie, o wszystko. I nie rozumieją, że nie w tem jest przecież rzecz, żeby komuś odebrać chleb, ziemię, czy naukę, ale żeby było dla wszystkich dość miejsca, pracy i światła w Ojczyźnie. Jednakże, moi chłopcy, to, co jest trudne, nie jest



jeszcze niemożliwe. I to, że coś jest trudne, nie powinno was jeszcze zniechęcać. Kiedy opowiadałem wam o podróżnikach do bieguna, albo o wielkich uczonych, którzy musieli zwalczać, nieraz z narażeniem swego życia, tysiące przeszkód, to nietylko, że nie żalowaliście ich, ale mówiliście, że chcielibyście żyć, tak jak oni. Bo przecież człowiek, prawdziwy, dzielny człowiek, nie chce mieć wcale łatwego życia: prawdziwy człowiek chce mieć piękne życie. A piękne życie, to jest takie, w którym się coś nowego zdobywa lub tworzy. Nietylko dla siebie, ale także dla innych. Więc spróbujcie stworzyć sobie takie życie, żeby wam wszystkim było w niem jak najlepiej, jak najprzestronniej i jak najciekawiej. Ale tu nie wystarczy powiedzieć sobie tylko „koleżeństwo“, „zgoda“, „braterstwo“, „miłość“. Tu trzeba to życie tak urządzić, żeby koleżeństwo, zgoda, miłość i braterstwo były w niem możliwe. Więc zacznijcie narazie od świetlicy. Postarajcie się, żeby zapanował w niej taki porządek, by podział wszystkiego, co możecie w niej otrzymać, zależny był nie od siły, sprytu lub przypadku, by nikt w niej nie był krzywdzony. Urządźcie ją tak, żeby mimo, iż jest ciasna, można w niej było swobodnie bawić się, czytać i uczyć. Ja wiem, że to trudno. Ale w życiu jest też ciasno i trudno. Ja wiem, że trzeba się dla was starać o większą i ładniejszą świetlicę, ale jeśli nie można jej natychmiast zdobyć, to trzeba, żebyście nie nad tem myśleli, kogo można z ciasnego domu wyrzucić, ale nad tem, jak można w nim wszystkich najlepiej pomieścić. A gdy już to

osiągniecie, to może pomyślicie także nad tem, jak zorganizować lepiej i mądrzej wasze życie poza świetlicą.

Tak mówił pan Stach, a chłopcy słuchali go uważnie. Niektórzy dlatego, że rozumieli, niektórzy dlatego, że pan Stach był ukochanym opiekunem świetlicy, który opowiadał chłopcom zachwycające historie o dalekich łądach i morzach, dziwnych zwierzętach, awanturnych podróżach, nieznanym odkryciach, niebie i gwiazdach. Niektórzy zaś dlatego, że przyrzekł im tego właśnie dnia zabrać ich oglądać gwiazdy na Wysoki Zamek. *)

— Ach! Mój Boże! — powiedziała panna Joasia — że też pan się nie obawia iść na wycieczkę z taką bandą! Przecież oni napewno pobiją się z dziećmi kilka razy po **drodzel**

Ale pan Stach potrząsnął głową i uśmiechnął się trochę smutnie.

— Myli się pani, panno Joasiu, — powiedział — ludzie nie kłócą się nigdy wtedy, kiedy patrzą razem w gwiazdy. Wtedy — nie.

OPIEKUNOWIE, PAN PIOTR I PAN PIOTRUŚ.

Opiekunów w świetlicy było siedmiu. I każdego lubiło się, albo nie lubiło inaczej. Oni sami nie zdawali sobie z tego sprawy.

*) Wysoki Zamek — góra zamkowa wraz z kopcem Unji Lubelskiej.

Panna Joasia np. sądziła, że chłopcy jej nie lubią i nie szanują, że ją okłamują i „robią jej na złość“. A chłopcy właśnie bardzo lubili pannę Joasię. Jeżeli zaś droczyli się z nią czasem lub opowiadali jej o sobie najdziwsze i najnieprawdopodobniejsze historie, to przecież tylko dla tego, że panna Joasia — tak bardzo i tak szczerze się tem martwiła...

Chłopcy nie byli przyzwyczajeni do tego, żeby się ktoś nimi zajmował i przejmował.

„Złam kark!“ — „Dość mam pysków do wyżywienia!“ — „Nic ci nie będzie — co ma wisieć, nie utonie!“ — oto były słowa, które dotychczas słyszeli.

A tu naraz przychodzi ktoś i — martwi się.

Martwi się, że się bijesz, że kaszlesz, że oszukujesz, że ci się palec obiera, że mówisz brzydkie wyrazy, że nie chcesz iść do łaźni, żeś otrzymał złą ocenę, że twoja matka jest chora, że nie masz butów albo książek.

Więc chłopcy poprostu nie mogą się nasycić tym zupełnie dla nich nowym objawem.

Przesadzają, a czasem nawet wymyślają dolegliwości, na które się skarżą, każą się prosić dłuższy czas, zanim zdecydują się umyć ręce lub zgodzą się łaskawie wziąć kartkę do łaźni, czy do lekarza, opowiadają niestworzone historie o swoich przygodach, lub wyczynach — przyjemnie jest, jeżeli się ktoś o nas martwi...

Zato z panną Elą, to jest zupełnie inaczej, choć panna Ela sądzi, że nikt tak, jak ona nie potrafi „trzy-

mać chłopców w karbach, a mimo to żyć z nimi w przyjaźni“.

Prawda, że podczas jej dyżurów jest w świetlicy spokojnie i cicho i że panuje w niej ład i porządek, ale prawdą jest także i to, że chłopcy nie znoszą jej i nazywają ją między sobą „czarownicą“ i „jędzą“. Boją się jak ognia jej napadów złości, zjadliwych docinków i szorstkiego, oschłego strofowania. A jednak w dniu jej dyżurów przychodzą wszyscy. Panna Ela posiada bowiem talizman, którym przyciąga ich z niepokonaną siłą: panna Ela opowiada bajki.

Ale opowiada tak, jak nikt prócz niej opowiadać nie potrafi. I kiedy chłopcy obsiadą ją czasem wieczorem w świetlicy, zawieszeni niemal oczyma u jej ust, a świetlica staje się nagłe krainą czarów i dziwów, niezwykłych przygód i cudownych zdarzeń, to zapominają zupełnie o tem, że nie lubią panny Eli. Zdaje im się, że panna Ela jest wszystkim, o czem opowiada: więzioną księżniczką, leśną wróżką, królową elfów, a nawet — szlachetnym rycerzem... I kiedy żegnają się z panną Elą, zapominają o całym popołudniu i pamiętają już tylko o bajce.

— Do widzenia panno Elu! — wołają. — Dziękujemy bardzo! Z nikim nie jest tak przyjemnie, jak z panią!

Panna Zosia z biblioteki jest miła, ale zato pan Janek jest nudziarz, bo chce, żeby koniecznie czytać „naukowe“.

Pana Leona znowu, to chłopcy ani lubią, ani nie lubią.

Pan Leon przychodzi do świetlicy codziennie uczyć tych chłopców, którzy nie chodzą do szkoły, polskiego, geografji, arytmetyki i ruskiego. Przy lekcji nigdy się nie złości, ale też i nie opowie niczego zajmującego. I nawet geografja, którą się chłopcy najbardziej interesują, jest u niego szara i nudna.

Zato pan Stach... ale panu Stachowi to wogóle nikt na całym świecie nie może dorównać! Każdy chłopiec wolałby być „posiekany na kawałki“, nie jeść cały dzień, ba, nawet nie rozsprzedać gazet, niż opuścić pogadankę pan Stacha. Wobec pogadank pana Stacha nawet bajki panny Eli wydają się nudne i jałowe.

Na pogadankach pana Stacha dalekie morza i lądy roztwierają przed nimi swoją niezmierną przestrzeń, rośliny i zwierzęta, o których dotychczas nigdy nie słyszeli, albo które znali tylko z obrazków, zdradzają im najtajniejsze dziwy swego życia, kropla wody staje się oceanem, pełnym niedostrzegalnych golem okiem żyjątek, a małe srebrne gwiazdki w górze olbrzymiami i tajemniczymi światami. Ale nietylko to. Bo nawet rzeczy wszystkim dobrze znane i ciągle oglądane, a których istota pozostaje przecież tajemnicą — telegraf, kolej żelazna, telefon, samolot, radio, mówią nagle do chłopców nowym językiem.

A kiedy pan Stach opowiada im o tych wszystkich ludziach, którzy w ciężkim trudzie, a często z niebezpieczeństwem utraty stanowiska, szacunku, a nawet życia walczyli o to, by ludziom było lepiej, by

więcej wiedzieli, by byli zdrowsi, mądrzejsi i szlachetniejsi, to chłopcom wydaje się, że w panu Stachu jest coś z tych wszystkich bohaterów nauki, o których mówi. I wpatrzeni w jego ciche i zamyślane oczy, myślą, że tak właśnie wyglądali pewnie „tamci“. Tylko, że panna Ela jest w oczach chłopców tylko tak długo bohaterką lub bohaterem swojej bajki, dopóki ją opowiada, pan Stach zaś pozostaje nim nawet wtedy, gdy wspólnie z nimi układa gry lub sprząta świetlicę.

Może dlatego, że pan Stach ma i w życiu ten sam łagodny i mądry uśmiech i te same dobre, a przecież wyniosłe i nakazujące posłuszeństwo oczy, i ten sam, tak prosty i koleżeński, niemal poufały, a jednak zmuszający do bezwzględnej szacunku sposób obejścia.

A może dlatego, że w opowiadaniach pana Stacha jest coś o wiele trwalszego i mającego głębszy i mocniejszy związek z życiem, niż w bajkach panny Eli.

Z panem Piotrusiem znowu, to sprawa jest całkiem inna. Inna i wcale niełatwa, bo pan Piotruś jest codzien inny, codzien jakby nie ten sam. Są np. dnie, kiedy wogóle niema pana Piotrusia, a jest tylko — pan Piotr. Chodzi po świetlicy surowy, poważny, rozdziela napomnienia, a czasem nawet i doraźne nauki — urzęduje.

Aż tu nagle na drugi dzień wpada do świetlicy jak burza, z rozwianą czupryną i błyszczącymi oczyma, i odrazu od progu chłopcy wiedzą, że wydarzył się jakiś radosny wypadek i że do świetlicy przyszedł znowu — pan Piotruś.

„Wypadek“ zaś bywa rozmaity.

Raz — „Jest dziś takie słońce, chłopcy, ale to takie słońce, że zwarjować można z radości!...“

A innym razem — „Jest wiatr, ale to taki wiatr, że może człowieka zanieść na koniec świata!...“

A czasem nawet — „Taki wspaniały deszcz!...“

I zaraz w świetlicy robi się tak wesoło, jakgdyby wraz z panem Piotrusiem przywędrowało do niej słońce i deszcz i wiatr.

Pan Piotruś bowiem nie uznaje ani gier, ani zwykłych zabaw towarzyskich. To też w okresach, kiedy pan Piotruś nie jest panem Piotrem, kierownictwo świetlicy drży poprostu przed jego dyżurami.

— Chłopcy! — woła np. od progu — czy jesteście nędznymi mieszczuchami, czy też jesteście wolnym ludem Bandar Log?!

I chłopcy, którzy czytali z nim „Księgę Dżungli“ Kiplinga i przeczuwają jakąś niezwykłą atrakcję, odpowiadają natychmiast chórem z radosną gotowością:

— Jesteśmy wolnym ludem Bandar Log!

— A więc tu, gdzie się znajdujemy, jest puszcza?!

— Tak! Tu jest puszcza! — ryczą chórem pełni radosnego przeczucia chłopcy.

A w pół godziny potem panna Joasia, wszedłszy do świetlicy, zastaje widok, który może zmrozić niejednemu krew w żyłach. Oto stoły do herbaty poustawiane są po dwa (jeden na drugim), na każdej zaś takiej piramidzie kołysze się, niby huśtawka, ławka (w wyobraźni chłopców — gałąź). Na każdej zaś

takiej huśtawce wyprawia dzikie harce z wyraźną pogardą dla praw równowagi kilku chłopców, podczas gdy pozostali tańczą jakiś dziwny, dziki taniec, przerywany skokami, chodzeniem na głowie i koziołkami, przyczem ryczą z takim zapalem i dumą, jakgdyby byli gromadą prawdziwych małp:

Patrz jak bitne nasze rody!*)
Jak dowcipne ich igraszki!
Rąk aż cztery, toć nie fraszki!
Dziw się, patrząc na ogony,
W łuk skręcone w różne strony!
Gniewasz się? At! Mniejsza o to!
My z ochotą
Ciągniemy siebie za ogony!

Sam zaś pan Piotruś, siedząc na piecu, przygląda się temu z niekłamaną życzliwością...

Innym znowu razem pan Piotruś pozdrawiał chłopców z wytwornym wdziękiem, zamiatając szeroki krąg rondem swego kapelusza i pytał:

— Szlachetni panowie! Czyż doprawdy zwyczaj turniejów wygasł już na tym dworze?...

A otrzymawszy gorące zapewnienie, że „nic podobnego“, wyprowadzał ich na podwórze i urządzał zapasy na kule śnieżne, biegi, rzucanie oszczepem, który reprezentował kij, wyciągnięty z miotły stróża, strzelanie z łuku (własnej pana Piotrusia roboty), oraz wiele innych niezmiernie ciekawych, ale cieszących

*) Pieśń małp z Księgi Dżungli Kiplinga.

się wyraźną antypatją dozorczy, lokatorów i gospodarza rozrywek...

Stosunkowo najmniej wrogów miały t. zw. zabawy „historyczne“.

Czasem bowiem chłopcy odtwarzali opowiadane im przez pana Piotrusia sceny. Nie wzbudzało to wśród opiekunów takiego niepokoju, jak harce wolnego ludu Bangar Log, ale na niespodzianych gości wywierało częstokroć dziwne, a nawet piorunujące wrażenie.

Tak więc np. dozorczyńni, wysłana do nas przez gospodarza po czynsz, przerażała się niemało, gdy zobaczyła pod obydwiema ścianami sali spiętrzone ławy i stoły, a w „wąwozie“ między nimi leżących pokodem na ziemi, z zamkniętymi oczyma chłopców.

— Co to jest?! — wyszeptwała do małego Pepi Glückaufa przerażona kobieta.

— To Termopile! — odpowiedział Pepi, który stał z boku i przyglądał się temu z zazdrością. — Ja nie mogłem polec, bo jestem Persem!

Ale nieczuła na wzniosłą chwilę historyczną dozorczyńni wrzuszyła tylko z pogardą ramionami:

— I to ma być nauka! Świrki! Jak Boga kocham — świrki!*) — mruknęła. A potem dodała już głośno i niezbyt uprzejmie — A gdzie tu jest jaki opiekun? Bo pan gospodarz powiedział, że nie będzie już dłużej czekał z czynszem i żeby mu zaraz zapłacić!

Pan Piotruś, który jako król Leonidas poległ

*) Świrk — w gwarze lwowskiej warjat.

wraz z swymi rycerzami, podniósł się, spojrzął ponuro na zuchwałą babę, zakłócającą mu spokój wieczny, wspomniął na pustki w kasie świetlicy i odparł dumnie:

— Niech przyjdzie i niech weźmie!...

Jednakże w zabawach z panem Piotrusiem trzeba było bardzo uważać, aby nie przekroczyć pewnych granic, na które pan Piotruś był niezmiernie wrażliwy, gdyż wówczas pan Piotruś obrażał się na winowajcę. Pozostawać zaś pod ciężarem obrazy i żalu pana Piotrusia było stokroć gorzej i ciężej, niż być wyrzuconym z sali za kołnierz lub otrzymać porządnego szturchańca od pana Piotra.

Tak więc np. wolno się było siłować, ale nie wolno się było bić, a już pod żadnym pozorem nie wolno było silniejszemu chłopcu uderzyć słabszego.

Wolno było zakląć, ale nie wolno było nikogo „wyzywać“.

Wolno było wyprawiać najdziksze harce, ale nie wolno było ze złośliwym zamiarem narazić kolegi na najmniejsze choćby niebezpieczeństwo.

Kiedy np. przerażona panna Joasia usiłowała sprzeciwiać się „obyczajom wolnego ludu Bandar Log“, tłumacząc, że chłopcy mogą sobie porozbijać głowy, pan Piotruś wrzusał tylko ramionami i odpowiadał obojętnie:

— Ach! Mój Boże! Na to są przecież chłopcami!

Ale gdy Janek podstawił nogę małemu Pepi Glückaufowi, „bo Pepi tak śmiesznie beczał, jak się

rozciągał“, to pan Piotr nie rozmawiał z nim coś ze dwa dni, w ciągu których Janek nieszczęśliwy i zgnębiony włóczył się za nim krok w krok, zaglądając mu pokornie w oczy i powtarzając:

— Panie Piotrusiu! Już nigdy nie będę! Jak Boga Kocham, że nie będę!

Czasem jednak zdarzało się, że pan Piotruś popadał w konflikt z panem Piotrem.

Myślę tu oczywiście o sprawie „Piotrówki“ — zabawy, która stała się jego utrapieniem i przyczyną jego kompromitacji. Historia zaś jej była następująca.

Pan Piotr, wybrany przez chłopców prezesem samorządu świetlicy, miał ogromny kłopot z utrzymaniem porządku na bardzo nieraz gorących posiedzeniach. Wpadł więc na pomysł pomówienia z chłopcami o obyczajach, panujących w parlamencie angielskim.

— W parlamencie angielskim jest zwyczaj — zakończył swe przemówienie — że jeśli speaker*) wstaje, to wszyscy posłowie muszą siedzieć. Zwyczaj bardzo mądry, gdyż w najgorętszej nawet kłótni, nikt nie może przeciwnikowi dać w zęby. A niema nic wstrętniejszego, niż jeśli ludzie próbują się przekonywać przy pomocy pięści. Proponuję więc, żeby i u nas zaprowadzić ten zwyczaj.

Chłopcy zgodzili się i odtąd na zebraniach panował wzorowy porządek. Jeśli tylko jakiś spór sta-

*) Speaker — marszałek sejmu.

wał się zbyt gorący, pan Piotr wstawał i spokój wracał. I nowe prawo wywarłoby zapewne zbawienny wpływ na życie świetlicy, gdyby nie to, że pewnego dnia Józka zaczęły nurtować teoretyczne wątpliwości: czy rzeczywiście, jeśli usiąść dobrze na stołku, „zaprzeć“ się jak należy nogami i przechylić się (nie tracąc jednak równowagi) w bok, to — nie można?...

Z wątpliwości tych zwierzył się Frankowi i obydwaj postanowili spróbować.

Okazało się, że jeśli mieć poczucie równowagi, zręczność, wprawę i dobry „sztos“, to nawet w parlamencie angielskim — można!

Wynik tego doświadczenia zelektryzował całą świetlicę, a w kilka dni później wszyscy chłopcy bawili się w nowo wynalezioną grę, zwaną „Piotrówką“. Skutki zaś tej gry były poprostu straszne: chłopcy posiniaczeni, z porozbijanymi nosami i podbitymi oczyma wyglądali jak inwalidzi wojenni, a w świetlicy — ani jednego całego stołka.

Pan Piotr zdawał w owym czasie jakiś egzamin i nie przychodził przez kilka dni do nas. Kiedy jednak wrócił, wszyscy opiekunowie powitali go wymówkami i zarzutami.

— To doprawdy wstyd i hańba, żeby opiekun wprowadzał do świetlicy podobnie dzikie, brutalne i niekulturalne zabawy!

— Czyście poszaleli?! — zawołał zdumiony pan Piotr — ja ich tego nauczyłem — ja?!

Najlepszy dowód, że nazywają nawet tę grę „Piotrówką“.

Pan Piotr przypomniał sobie nagle swoją pogadankę o obyczajach w parlamencie angielskim i widocznie jakaś myśl zaświtała mu w głowie, bo urwał, poczerwieniał i jak burza wpadł do świetlicy.

— A łajdaki! A łobuzy! — zawołał już od przodu. — To ja was uczę obyczajów parlamentarnych, a wy sobie z tego mordownię robicie?! Kto wpadł na ten pomysł, niech się natychmiast przyzna!

Józek westchnął ciężko, podrapał się w głowę i wysunął się z gromady.

Szczerłość winowajcy ujęła pana Piotra, ale zapętał surowo:

— Czy ci nie wstyd Józek i czy nie uważasz, że zasłużyłeś na karę?

— Eh! Na jaką karę! Przecież ja chciałem tylko przeprowadzić doświadczenie, bo zaraz mi się zdawało, że w tem, co pan mówi, musi być jakiś szwindel!

Pan Piotr poczuł się urażony.

— Co za szwindel? Z czem szwindel?!

— No z tym parlamentem i ze speakerem. Sam pan opowiadał, że Anglicy są tacy wysportowani, a tu nagle takiego głupstwa zrobić nie potrafią! Chociaż... może dorosłym jest trudniej... — i zerkając chytrze na pana Piotra dodał — mnie się naprzykład zdaje, że panby też nie potrafił!

— Potrafiłbym czy nie — nie twoja rzecz! — rozgniewał się pan Piotr. — To jedno wam zapowiadam, że jakbym was kiedy złapał na tej zabawie, to wasze niedoczekanie! I żebyście nie śmieli nazywać tej mordowni „Piotrówką“!

Ale, że wątpliwości Józka ubodły go jednak, więc dodał jeszcze trochę zły, a trochę zaciekawiony.

— A co do tego, że dorosłyby nie potrafił, to głupstwo! Tobysmy jeszcze zobaczyli! Czy to znowu takie trudne?...

— A pewnie, że trudne! Zresztą... może pan przecież spróbować... Franek jest akuratnie pana wzrostu.

— Co takiego?! — oburzył się pan Piotr.

Ale podstępny Józek udał, że nie słyszy i westchnął znowu: Ale mnie się zdaje, że nie potrafiłby pan! Chłopcy zaś zaczęli mu przyświadczać.

— Ale! Gdzietam! Dorosły tego nigdy nie potrafi! To nie jest zabawa dla pana...

I wtedy pan Piotruś zatriumfował nagle nad panem Piotrem.

— Dawać mi tu w tej chwili stołek! Franek! Siadaj!

Kiedy po kilku minutach panna Ela weszła do świetlicy, zastała pana Piotra i wszystkich chłopców zaabsorbowanych zakazaną grą.

— Panie Piotrze! — krzyknęła zdumiona i zgorzozona.

Pan Piotruś opamiętał się natychmiast.

Stał przed panną Elą zmieszany i zgnębiony, jak schwytyany na gorącym uczynku uczniak. I gdy chłopcy zobaczyli „swego“ Piotrusia w tak upokarzającej sytuacji, zrobiło się im strasznie przykro i wstyd, bo poczuli, że właściwie to oni są tutaj winni. Nikt jednak nie wiedział, co zrobić i jak postąpić, żeby mu pomóc.

A wtedy najmłodszy ze wszystkich, siedmioletni Pepi Glückauf, który bał się zawsze jak ognia panny Eli, wysunął się niespodzianie naprzód i oświadczył odważnie, patrząc jej prosto w oczy:

— To nie jego wina! To ja go namówilem!

WSPANIAŁA ZABAWA.

— Tak wspaniałej zabawy chłopcy nie pamiętali już oddawna.

Bo nawet zabawa z panem Piotrusiem miała zawsze jakiś ograniczony teren i możliwości i musiało się, gdzieś, w najgłębszym kąciku serca wiedzieć, że przecież to nie jest — „naprawdę“.

Terenem jednak tej zabawy stał się cały Lwów, udział zaś w niej przyjęło całe miasto!

Nudne i szare „codzienne“ ulice zmieniły się nagle w pełną niebezpieczeństw i przygód dżunglę, a w dżungli polowały na siebie dwa plemiona czerwonoskórych: Polacy i Żydzi*)... Na obydwu zaś plemiona polowało wojownicze i napastliwe plemię policji.

Co za możliwości!... Co za radość!... Co za naga różnorodność i barwność życia!...

Z ciemnej jaskini bramy przyczajony dowódca — Józek, patrzy w wyludnioną ulicę.

Każdy krok odbija się w jej ciszy groźnym, wprawiającem serce w rozkoszne drżenie, echem.

*) Mowa tu o rozruchach antyżydowskich, które wybuchły we Lwowie w listopadzie 1933 roku.

Policja czy — „oni“?

Oni!

Krótki, urwany sygnał i cała gromada wypada z zasadzki!

„Wrogie plemię“ rzuca się do uciezki.

Nie! Nie ujdziecie tak łatwo! Oddział Józka jest tylko garstką w gromadzie bratnich oddziałów!

Krzyczeć! Bić! Gonić!

Ale oto przeciągłe gwizdki policyjne przecinają już ze wszystkich stron powietrze i nagle z prawa i z lewa (zupełnie jak w filmie!) wysypują się policjanci, a po bruku łomoczą (o rozkoszy!) kopyta konnicy!

Być ściganym przez konnicę!

Przez prawdziwą konnicę!

Chłopczy pędzą aż do utraty tchu, choć oddawna już nikt ich nie goni. Wydaje im się, że to i oni galopują na koniach. (Pochylają się w pędzie ku przodowi, mocno trzymają się w strzemionach, a niewidzialne rumaki niosą ich jak wiatr!...)

Są upojeni szczęściem.

Jaka szkoda, że Piotrusia niema tu z nimi! On także musiał dzisiaj dokonać niejednego wspaniałego czynu!

Ale— co to? Żydowski sklep, w którym zapomniano spuścić żaluzje! Nieobroniona forteca wroga!

Kamień!

Trrrach!... I cała szyba wylatuje z łoskotem głośnym jak wystrzał!

Zuchy! To się dopiero nazywa robota! — słyszą za sobą głosy. Kilku młodych panów z laskami

i zielonemi wstążeczkami w klapach. Wesołe, miłe twarze, serdeczne spojrzenia — sprzymierzeńcy.

Jeden klepie po ramieniu promieniejącego z zadowolenia Janka, drugi sięga do kieszeni:

— Poczekajcie! Dostaniecie coś za to!

Wyjmuje garść zielonych kokardek i przypina je wszystkim.

Chłopcy są olśnieni.

To prawie jak dekoracja wojskowa!

Co powie panna Joasia, co powiedzą opiekunowie, gdy zobaczą ich odznaczenia?! To dopiero będą zadowoleni!

Jeden tylko Józiek odczuwa na tę myśl lekkie ukłucie niepokoju.

Jakieś zdania nagle przypominiane... jakieś okrucy rzucanych codzień myśli... Panna Joasia, gładząca macierzyńskim ruchem włosy Salka...

Ale odsuwa to wszystko od siebie.

Nie chce poprostu o tem myśleć.

Czuje do tego obrzydzenie! Otrząsa się po tem, jak po emetyku!*)

A zresztą — to wszystko się zmieniło!

To było przedtem!

Teraz nawet pan Stach myśli już napewno inaczej!

Teraz — przekonali się!

Jeden z panów coś mówi, a Józek czuje, jak pięści jego zaciskają się kureczowo, krew tętni przyśpieszonym rytmem, a nienawiść do wrogów burzy się

*) emetyk — środek wykrztuśny.

w nim i podnosi jak fala, przesłania mu oczy czerwona mgłą!

Nienawidzi ich! Nienawidzi tych nędznych tchórzów, tych lichwiarskich kupczyków!

To już nietylko rozkosz bitki, krzyku i swobodnego rozmachu, ale rozkosz — zemsty!

Są mścicielami krzywd swego plemienia!

Mądrego, szlachetnego i mężnego plemienia, które nie pozwoli, by plemię pasorzytów i śmierdzących pluskiew żywiło się jego krwią!

Nie! Nie pójda dziś do świetlicy!

Trzeba do końca wyzyskać ten dzień walki, trzeba nasycić się jego niebezpieczeństwem i gorącym upojeniem zemsty! Trzeba jeszcze bić się, jeszcze krzyczeć, jeszcze niszczyć!

Kiedy wreszcie późnym wieczorem wpadają do świetlicy, są podnieceni, rozgorączkowani, żądni okrzyków podziwu i pochwał.

W maleńkim pokoiku, w którym zwykle przygotowuje się herbatę, siedzą opiekunowie. Przyszli dziś wszyscy, wszyscy oprócz Piotrusia.

Ale nie wyglądają na to, aby „wspaniała zabawa“ przejmowała ich radością. A nawet twarze ich i postawa są tak szczególne, że chłopcy zatrzymują się w progu zdziwieni.

Pan Leon i panna Ela siedzą zgarbieni i ponuro wpatrzeni w ziemię, panna Joasia jest dziwnie rozgorączkowana, panna Zosia z biblioteki ma zapłakane oczy, a pan Stach stoi przy oknie, bębniąc w szybę, pogrążony w zamyśleniu.

Najdziwniejsze jednak ze wszystkiego jest to, że nikt nie zwraca się do chłopców, nikt ich nie pyta, gdzie byli, co robili i dlaczego tak późno przychodzą.

Nawet panna Joasia „nie martwi się“. Wskazuje tylko roztargnionym ruchem drzwi sąsiedniego pokoju i mówi:

— Wchodźcie chłopcy, zaraz będzie herbata, — a potem dodaje z rozdrażnieniem — tylko nie hałasujcie i nie wbiegajcie tu co chwila, bo my jesteśmy zajęci!

Chłopcy są tak bardzo zaskoczeni tem niezwykłym przyjęciem, że tylko część ich, zagnała stropiona i przycichła, idzie za jej wskazówką. Reszta stoi słoczona i jakby wyczekująca w drzwiach. Ale panna Joasia już o nich nie myśli. Zwraca się do pana Stacha i, kończąc widocznie jakieś zaczęte zdanie, mówi:

— Nie! Nie powinien był tego uczynić!

— Tak! — potwierdza panna Zosia. — Nie powinien był! Czyż kiedykolwiek spotkał się wśród nas z niechęcią, podejrzliwością, czy uprzedzeniem do jakiegoś żydowskiego kolegi?! Albo czy robiliśmy jakieś różnice pomiędzy polskimi, żydowskimi lub ukraińskimi dziećmi?!

I czy można, a nawet czy wolno porzucać sprawę, dlatego, że są tacy, którzy nienawidzą?!

— Jabym nawet powiedziała, że to jest tchórzostwo! Tak! Tchórzostwo! — woła panna Ela.

— No „tchórzostwo“ to już jest za wielkie słowo — odzywa się cicho pan Stach. — Piotruś jest bardzo wrażliwy i mocno odczuwa najdrobniejsze nawet

ukłucie. A to, przyznajcie sami, nie jest już ukłucie, tylko pchnięcie nożem!

Na dźwięk imienia pana Piotra chłopcy drgnęli: Czyżby Piotrusiowi stało się coś złego?! „Pchnięcie nożem“! Co to ma znaczyć?!

— Co jest z Piotrusiem?! Co jest z panem Piotrem?! Dlaczego niema pana Piotrusia?! — krzyczą przerażeni, tłocząc się wokół opiekunów.

— Nic... nic... dziś nie przyjdzie, bo jest trochę niezdrów — uspakaja ich pan Stach. — Idźcie do sali, chłopcy!

Ale inni opiekunowie nie zwracają na nich uwagi i sprzecząją się dalej ze sobą.

— A ja nie przestanę utrzymywać, że to jest tchórzostwo! — krzyczy panna Ela. — Bo poco tu jesteście?! Poco?! Żeby ich wychować na nowych, lepszych ludzi! Więc jeśli się ma taki cel, to nie wolno, jak Piotr, powiedzieć sobie, że wobec rozpętania nienawiści wszystkie wysiłki są próżne i porzucić towarzyszy! Nie wolno pisać, że ludzie to bydłeta, więc... Jakto tam jest w tym jego liście Joasiu?

— Nie wróćę już do was... — czyta matowym głosem trzymaną w rękę karteczkę panna Joasia — nie warto. Nie nie warto. Ludzie to bydłeta złe i okrutne, znajdujące rozkosz w dręczeniu i pastwieniu się. Kolega, którego szanowałem, uderzył mnie dziś w twarz. Widziałem, jak bito bezbronych ludzi i jak niszczone stragany nędzarzy, — przekupni.

Nie wiem co jest w was samych i czy nasi chłopcy...

— Nie teraz, Joasiu! — przerywa jej pan Stach. Ale pan Leon, który spojrział przypadkowo na chłopców, zrywa się nagle, jak ukłuty szpilką i woła:
— Co... Co wy tam macie poprzipinanego do kurtek?!

— To zielone wstążeczki! — mówi, wypinając dumnie pierś, Janek.

A Franek uzupełnia z niemniejszą dumą:

— Dostaliśmy za wybicie szyby w tym wielkim sklepie na rogu Sykstuskiej — jeden pan, zdaje się akademik, sam nam przypiął!

I oto staje się rzecz dziwna:

Wśród opiekunów zapanowuje martwa cisza. Taka cisza, że chłopcom robi się coraz bardziej nie-swojo i markotno. I wśród tej ciszy panna Zosia wybucha naraz głośnym, dziecinnym płaczem i, jak uderzone dziecko, ucieka za przegródkę, gdzie stoi maszynka do herbaty i garnuszki. A tak zwykle spokojny i flegmatyczny pan Leon, cały czerwony z gniewu krzyczy:

— Zdejmijcie to natychmiast! Słyszycie?! Zdejmijcie to natychmiast!

I zrywając pierwszemu z brzegu chłopcu kokardkę depcze ją z wściekłością nogami.

Ale teraz chłopcy wpadają w gniew.

Poniewierać ich odznaki, które otrzymali za męstwo! Kazać je im odrzucać! Nie! Nigdy! Nie zdejmą tych kokardek!

Opiekunowie i chłopcy stoją naprzeciw siebie jak dwa wrogie obozy.

Ale wtedy pan Stach mówi do kolegów spokojnie i stanowczo:

— Zostawcie! To oni i tylko oni muszą sami zdecydować, czy chcą nosić tę odznakę!

A potem, zwracając się do chłopców, dodaje łagodnie:

— Wejdźcie do sali chłopcy. Chcę pomówić z wami.

Ale chłopcy po raz pierwszy patrzą na niego nieufnie i stoją oporni, ponurzy, zamknięci w sobie.

„Pomówić z nimi“... Wiedzą przecież dobrze, co teraz nastąpi! Jakże mogli o tem zapomnieć!

Znowu „miłość“, znowu „ludzkość“ i znowu „braterstwo“!

Zawsze ta sama cikliwa rozlazłość, ta sama tchórzliwa obawa przed czymś bólem, to samo babskie, płaczące niedołęstwo!

Józek czuje nieomal uczucie mdłości, podchodzące mu do gardła.

A pan Stach mówi o „krzywdzie“.

I Józek wie, że pan Stach ma słuszość, ale ta świadomość drażni go tylko i gniewa.

Bo czyż tu wogóle chodzi o „słuszość“, albo o to, żeby komuś nie stała się „krzywda“?

Czyż nad każdym bólem trzeba się tak rozczulać?

Józek nie umie tego wyrazić, ale czuje, że najważniejszy jest cel i walka. Wspaniała, męska, twar da i bezlitosna walka z obcym plemieniem! Wszystko jedno nawet, czy słuszna, czy niesłuszna! Słuszne jest

zawsze pójdzie ze swoją gromadą! Słuszna jest solidarność z nią — na śmierć i na życie!

I tam, na ulicy, Józek czuł to. Czuł to wszystkimi fibrami serca, wszystkimi mięśniami ciała! I wszyscy wokół niego czuli tak samo! I nie było pytań, wahań, rozterki, całej tej obrzydliwej słabości!

Ale tutaj są. Wyłażą ku niemu z każdego kąta. Podkopują jego poczucie zadowolenia i sprężystej, niezłomnej siły.

I kiedy Janek krzyczy panu Stachowi, że „wszyscy Żydzi są oszuści i złodzieje!“, to Józek nie doznaje wcale ulgi, tylko ma niewiadomo dlaczego ochotę zawołać — „dureń“!

A jeszcze w dodatku ten list Piotrusia i te dziwne słowa panny Eli!

Ten list i te słowa, których Józek **n i e c h c e** rozumieć!

I żeby zagłuszyć to wszystko, Józek woła nagle głośno i zuchwale, choć wie już dobrze, że to przecież nieprawda:

— Gdyby Piotruś tu był, to byłby z nami!

— Tak! Tak! — krzyczą chłopcy — Gdyby Piotruś tu był, to samby nam przypiął te wstążeczki!

— Piotruś?! — woła drżąc z gniewu panna Joasia. — Pan Piotruś nigdy już tutaj nie przyjdzie!

— Co?! Co takiego?! — Chłopcy patrzą na nią osłupieli i przerażeni.

Pan Piotruś już nigdy do nich nie przyjdzie?! Nie! To nieprawda! Co mu się stało?! Dlaczego?!

— Dlaczego?! — krzyczy panna Joasia, która

staje się nagle zupełnie niepodobna do siebie, dziwnie twarda, bezlitosna i jakby wyższa i starsza: Dlatego, że to wyście go stąd wypędzili!

— Joasiu! — mówi pan Stach — Joasiu!

Ale panna Joasia nie zwraca na niego uwagi.

— Wy i ci, którzy wam przypięli te wstążeczki! Pan Piotruś jest Żydem. Ale pan Piotruś wierzył dotychczas, że wszyscy ludzie są braćmi. Jest poetą i widział w marzeniu nowy, lepszy i piękniejszy świat. Kochał was. Poświęcał wam każdą wolną chwilę. Razem z nami wszystkimi walczył o nową, lepszą przyszłość dla was. Ale dzisiaj — znieważono go. Sponiewierano go — słyszycie?! I widział, jacy źli, jacy okrutni są ludzie. I może przeczuł także, że wy, „jego chłopcy“, jego „wolny lud puszczę“, jego „rycerze okrągłego stołu“, przypniecie także zielone wstążeczki i będziecie cieszyć się, że oto możecie nareszcie bezkarnie niszczyć, bić i krzywdzić! I przestał wierzyć. Nie wierzy już wam, ani nam, nie wierzy nikomu, może nawet — nie wierzy sobie. I nie chce już tu wrócić. Teraz już wiecie. Wiecie teraz?!

Chłopcy milczą oszołomieni, zdjęci grozą wobec tych okrutnych, niezupełnie zrozumiałych, i jakby, mimo wszystko, niezupełnie sprawiedliwych słów.

Właściwie wiedzieli, ale tak tylko jakoś „nawpół wiedzieli“, że Piotruś jest Żydem. Nie zastanawiali się jednak nigdy dotychczas nad tem i nawet jakoś „na śmierć“ o tem zapomnieli.

I teraz nagle — Piotruś odchodzi od nich.

— Jezus Marja! — woła, chwytając się za głowę, Józek. — To nieprawda! To nie może być!

— L.. i może go nawet zranili! — woła Fed'ko i wybiega ze świetlicy, a za nim wszyscy chłopcy.

Nie porozumiewają się ze sobą, ale wiedzą dobrze, dokąd biegną. Nie było wśród nich wszakże ani jednego, któryby siedząc na kulawem krzeselku, w studenckim pokoiku pana Piotra i popijając herbatę, zrobioną na żelaznym piecyku, nie opowiadał mu o jakimś swoim ciężkiem strapieniu, na które nikt prócz Piotrusia nie może poradzić.

Ale mieszkanie pana Piotrusia jest daleko od świetlicy i zmęczeni całodzienną bieraniną chłopcy coraz bardziej zwalniają kroku.

Jest już późny wieczór i w oddalonej od śródmieścia dzielnicy gdzie niegdzie tylko błyszczą latarnie.

Opustoszałe wskutek rozruchów ulice mają wygląd dziwnie ponury.

Trzech konnych policjantów przejeżdża wolno, rozglądając się uważnie wokoło.

Zapodział się gdzieś i znikł bez śladu urok walki i przygody.

Krzyk jakiegoś napadniętego w bocznym zaułku przechodnia szarpnął chłopcami śmiertelną obawą.

Może ten przechodzień to Piotruś?! Może to Piotruś wyszedł na ulicę? I chłopcy rzucają się w tę stronę, ale niema już nikogo. Słysząc tylko zdaleka tupot nóg po bruku i widząc jakiegoś człowieka, który trzymając się oburącz za głowę wpada do bramy.

— Głupstwo! — usiłuje głośno sam siebie uspo-

koić Fed'ko. — Przecie Piotruś niema z tem nic wspól-
nego!

— Z czem? — pyta Kazik.

— No, z tem oszukiwaniem, wyzyskiwaniem
i wogóle... Zacyoby go mieli napadać?

— A zaco go rano napadli? — pyta Janek, a po-
tem dodaje ciszej. — A zaco myśmy napadali?...

— To żeby ich wszystkich nauczyć! — usiłuje
wytlumaczyć Franek. — Żeby raz na zawsze wiedzieli!

A wówczas Józek słyszy ze zdziwieniem, jak Ja-
nek powtarza słowa pana Stacha:

— No, to trzebaby także bić wszystkich Pola-
ków i Ukraińców, jak się między nimi bandyta albo
oszust znajdzie. A weź tylko gazetę do ręki, to zoba-
czysz, że się znajdzie.

— Ale sam przecież powiedziałaś panu Stacho-
wi, że Żydy są złodzieje i zawsze tylko czekają, żeby
katolika oszwabić! — mówi Kazik.

— To jest prawda... — przyznaje zmieszany Ja-
nek. — To jest prawda... Ale... są przecie i inni!

— Tak! — zgadzają się pośpiesznie chłopcy. —
Nawet zupełnie inni!

— Można nawet powiedzieć — niepodobni do
Żydów!

— No, a do kogo podobni? — rzuca szydersko,
niespodzianie dla samego siebie Józek. — Do kogo jest
podobny Piotruś?

— Jak to do kogo? — dziwi się Franek. — No...
do Polaków.

— A czy ty między Polakami masz dużo Piotrusiów? Więc skąd ty możesz wiedzieć, że naprzykład jakiś Żyd nie powie na pana Stacha: To jest zupełnie inny Polak. On nawet nie jest podobny do Polaka. On jest zupełnie jak Żyd.

— Także coś!

— Widzisz go, jaki się żydowski przyjaciel znalazł!

Ale Józek mówi tym samym szyderskim tonem:

— Nie zapomnijcie tylko Piotrusiowi wstążeczek pokazać — ucieszy się bardzo i zaraz z wami poleci do świetlicy!

— A ty nie zapomnij pyska zamknąć, bo ci go inni przymkną! — słyszy życzliwą odpowiedź.

Ale po drodze, nieznacznie i niespostrzeżenie, zielone kokardki znikają jedna po drugiej.

Na jakimś rogu, mały żydowski chłopczyk płacze głośno. Z nosa idzie mu krew, którą rozmazuje rękawem po całej twarzy, a obok niego leży wdeptany w błoto chleb.

Józkowi przypomina się Salek. On także wraca zwykle o tej porze z chlebem dla matki. Gdzież jest właściwie ten Salek? Nie widzieli go dziś od rana. I znowu czuje to samo szarpnięcie obawy. Widocznie tak jakoś, sam nie wiedząc kiedy, polubił tego żydziaka. I znowu jakby bez udziału swej woli, niespodzianie dla samego siebie, pyta malca:

— Kto cię tak urządził, co?

Chłopiec zaczyna coś szwargotać w żargonie, zachłystując się łzami, ale nagle podnosi oczy na Józka

i na skupioną wokół niego gromadkę, z okrzykiem przerażenia zasłania się ręką, jakby przed uderzeniem, i rzuca się do ucieczki.

— A to durny! — mówi ze złością Józek i chłopcy idą w milczeniu dalej.

Głośno turkoczając toczy się powoli po bruku dorożka. Dwóch ludzi podtrzymuje trzeciego, którego głowa obwiązana jest białym bandażem. Dorożka znika na zakręcie.

— To jakiegoś akademika tak poharatali — objaśnia ktoś kilku zebranych gapiom. — Podobno wlaź między polską i żydowską bojówkę i chciał do zgody namawiać!

— Ale że miał odwagę, to miał! — opowiada jakaś starsza kobiecina. — Tu stoją, moja pani jedne, a tu jakby drugie z pałkami, a ten wlaź między nich sam jeden bez broni. Nie nosił kapelusza, a głowę to miał taką, jak święty Jerzy na obrazie!

— Nie plotłabyś pani! Zdaje się, że to był Żyd!

— Żyd czy nie Żyd, dobrze mu tak! Niech nie pcha nosa między drzwi!

Józek czuje znowu, jak krew łomocze mu w skroniach, a serce rozszerza się jak wówczas, gdy słuchał zrana pana z zieloną wstążeczką, tylko jednocześnie — zupełnie inaczej.

— To jest właśnie ta sprawa, o której mówiła panna Ela — myśli w nagłym olśnieniu zrozumienia — ta ich „sprawa“! Sam jeden. Przeciw wszystkim. Nie z gromadą, tylko — z Prawdą!

A potem niewiadomo dlaczego, przypomina sobie to, co pan Stach opowiadał kilka dni temu o Galileuszu.*) Jakże to on wołał, sam jeden, ze swoją Prawdą wobec przemocy? A jednak się rusza! A jednak się rusza!

A potem nagle obraz tego rannego w doroczce i straszliwy, podnoszący włosy lęk:

— Piotruś! — krzyknął — Chłopcy! Przecież to musiał być Piotruś!

Biec za dorożką? Niema sensu! Trzeba do niego do domu! Jak najprędzej!

I znowu chłopcy biegną, ile sił i tchu starczy!

Co za straszny dzień!

Ale oto już brama domu Piotrusia. Dozorca próbuje im zagrozić drogę:

— A to co znowu?! Dokąd to?!

Odpychają go bez ceremonji i pędzą na górę całą gromadą, aż schody dudnią.

Józek jest pierwszy. Drżącą ręką puka do drzwi.

Ale z wewnątrz nikt się nie odzywa.

Wtedy Józek puka mocniej i jeszcze mocniej, a wreszcie, w śmiertelnem przerażeniu, poczyna walić w nie pięściami, nogami, jak się da.

— Kto tam?! — Drzwi roztwierają się i staje w nich cały i zdrowy pan Piotruś.

*) Galileusz — wielki astronom włoski. Pracował dalej nad teorią Kopernika o ruchu ziemi naokoło słońca. Teoria ta uznana została wówczas za bluźnierczą. Zmuszony przez inkwizycję do odwołania swych „herezyj“, jeszcze na łożu śmierci zawołał podobno: „Eppur si muove“! A jednak się rusza!

I oto sam, nie wiedząc, jak do tego przyszło (bo przecież nie przywykł do takich czułości), Józek zawisł na jego szyi, a ramiona pana Piotrusia objęły go mocnym, braterskim uściskiem. Ale po chwili, odepchnięty przez innych już odleciał w bok i pan Piotruś znalazł się na schodach w słóczonej wokół niego gromadzie, ściskających go chłopców. Nie mówił nic. Ani słowa. Tylko, gdy tak jeden po drugim brali go w ramiona, patrzył na nich dziwnie zmieszany, takim jakimś szczególnym wzrokiem, jakby ich widział po raz pierwszy. Kiedy jednak mały Pepi Glückauf, który nie mógł się do niego dociśnąć, chwycił go za nogę i przytulił do niej swoją kędzierzawą główkę, pan Piotruś odwrócił się gwałtownie i plecy jego zdrząły, jak gdyby wstrząsnął nimi szloch. Ale, że Piotruś był za duży, żeby płakać, więc powiedział tylko, nie odwracając się, głosem, który dziwnie się załamywał:

— No to... Co tu będziemy stali na schodach, chłopcy? Chodźcie do środka!

Weszli więc i tak szczelnie zapełnili pokój pana Piotrusia, że szpilki nie było gdzie wcisnąć.

Pan Piotruś usiłował ich rozsadzić, zapalić maszynkę, wyjął z szafki herbatę i szklanki. Krzątał się jednak tylko bezładnie, to tu, to tam, a wszystko leciało mu z rąk.

Ale Józek, który już od dłuższej chwili przyglądał się podejrzliwie tym praktykom, powiedział nagle surowo:

— Panie Piotrusiu! Pan dobrze wie, że myśmy

nie przyszli tu na herbatę. Niema co sobie i innym głowy zawracać! Niech się pan ubiera i idziemy do świetlicy!

— Ale co znowu... co znowu... — zmieszał się pan Piotruś. — Ja się wcale nie wykręcam... ale dziś jest już przecież i tak za późno.

— Późno czy nie późno — idziemy! — powtórzył stanowczo i surowo Józek.

— Kiedy ja... kiedy widzicie, moi chłopcy... kiedy widzisz, Józek...

Józek postąpił krok ku niemu.

— Panie Piotrusiu! — powiedział. — Wie pan, co mówiła o panu panna Ela? Mówiła, że pan jest tchórz!

— Co?! — szarpnął się pan Piotruś.

Józek nie zwracał jednak na niego uwagi.

— Ja wtedy nie rozumiałem wszystkiego, co ona mówi i dopiero teraz... Pan zląkł się, że niby ludzie są niedobrzy, pan rzucił wszystko, pan się zamknął i pan powiedział sobie: Niech się mordują, kiedy są takie bydlaki — a mnie co do tego? No, ale mnie się wydaje, że taka rzecz to jest — ucieczka. Bo przecie pan miał kolegów, z którymi pan razem szedł — no nie?!

Pan Piotruś patrzył chmurnie w ziemię.

— Ty tego nie rozumiesz, Józek! — mruknął. — Tamci, to garstka. Nic nie znacząca garstka!

Ale Józek uśmiechnął się szydersko:

— To jakoś nie tak pan nas uczył — Leonidas by tak nie powiedział!

— Józek! — krzyknął pan Piotruś.

I teraz chłopcy widzieli, że jest już bardzo zły.

— Ta wściekłeś się czy co? — szarpnął Józka za rękę Franek. — Cóż to, przyszedłeś tutaj Piotrusiowi przymawiać, czy jak?!

Józek odsunął go.

— I jedno ja panu jeszcze powiem, panie Piotrusiu! Jakeśmy tu szli, to wieźli dorożką jakiegoś akademika, który rzucił się sam jeden między polską a żydowską bojówkę i wołał, że tak niby nie wolno, że tak się nie robi między ludźmi. Więc jak myśmy zobaczyli tego rannego, to myśleliśmy, że to pan i biegliliśmy tu bez tchu, jak te warjaty! A teraz, to ja panu powiem, Piotruś, że jabym wołał, żeby... żeby to pan był tym rannym — tam!

Tego to już chłopcom było za wiele.

— Widzieliście no coś takiego!

Onby wołał, żeby Piotrusia zranili!

Za siebie mów, nie za inych!

Jakeś taki, to pocoś tu z nami leciał, że mało nóg nie połamałeś?!

Ale pan Piotruś nie gniewał się.

Stał chwilę ze spuszczoną głową, podszedł do Józka, wyciągnął do niego rękę i powiedział cicho:

— Dziękuję ci, Józek.

A potem, nie podnosząc wciąż oczu:

— I wam wszystkim, moi chłopcy, i wam także! Bo, widzicie, muszę się wam do czegoś przyznać.

Nie znałem was dotychczas. Nie doceniałem was. Sądziłem, że wy pierwsi, jak taka rzecz będzie

na ulicy, że wy... wstyd powiedzieć! Przepraszam was! Przepraszam was, moi chłopcy!

Chłopcom wydało się nagle, że ziemia pali im się pod nogami. I gdyby pan Piotruś podniósł w tej chwili oczy, to może domyśliłby się czegoś, bo stali, jak na rozpalonych węglach, czerwoni, zmieszani, nieprzytomni ze wstydu...

I już Janek chciał coś powiedzieć, do czegoś się przyznać, ale Józkowi wydało się nagle, że nie powinien do tego dopuścić.

Nigdy! Za żadną cenę!

Wydało mu się, że tu nie wolno ulżyć sobie wyznaniem, choć to byłoby może najłatwiej, bo oto Piotruś...

Więc krzyknął:

— No to jak iść, to iść! — i roztworzył drzwi.

C Y G A N.

Miał dwanaście lat, ale nie wyglądał nawet na dziecko. W zawodzie ulicznego grajka — rzecz bardzo korzystna. Im mniejszy bowiem i szczuplejszy jest chłopczyk, który, zagrawszy uprzednio na podwórzu kilka bardzo rzewnych melodyj, zaśpiewa piosenkę o sierocie, wypędzonej przez macochę lub żalając się nocą na grobie matki, tem więcej zawiniętych w papierki groszaków sypie się z okien domów. Ale mimo swego „korzystnego“ wyglądu nie zarabiał wiele. Było w jego smagłej cerze, ogromnych, posep-

nych lub bezczelnie natarczywych czarnych oczach i gardłowym głosie o cudzoziemskim akcencie coś obcego, coś nie budzącego ani współczucia ani zaufania.

Czy był naprawdę (jak twierdził) sierotą, czy też przywędrował tu z jedną z tych kobiet, które wchodzą lekkimi, skradającymi się krokami (obejrzawszy się uprzednio ostrożnie, czy dozorca niema w pobliżu) na kuchenne schody domu, by powróżyć służącym? Nie wiadomo. W każdym razie pewnem jest, że, jeżeli nawet spotykał się gdzieś w nocy z matką, to przez cały dzień musiał się sam troszczyć o siebie. I to nie tylko o swe wyżywienie, ale i o obronę. Musiał być bowiem ciągle czujny, ciągle gotowy do ucieczki lub odparcia napaści. Był niby kanarek wypuszczony między wróble, dziobiące się wprawdzie między sobą o ziarno, ale zawsze gotowe do wspólnego zadziobania obcego przybysza.

Nie stawiał zresztą nigdy czoła w otwartej bójce. Wiedział przecież z doświadczenia, że każdy z jego współzawodników ma jakichś przyjaciół, jakiegoś „kindera“^{*)} jakąś grupę, w której może znaleźć oparcie. On natomiast jest zupełnie sam.

A zresztą — skrzypce.

Każda bójka mogła narazić skrzypce. A skrzypce to był chleb, to była jakgdyby przepustka, ułatwia-

*) „Kinder“ w narzeczu uliczników lwowskich, to starzy chłopiec, wysyłający młodszych na żebranie. Jego podwładni dzielą się z nim zarobkiem, a wzamian korzystają z jego obrony przed napastnikami.

jąca wślizgnięcie się tam, gdzie bez nich niepodobna-
by się dostać, to był wreszcie może — jedyny przy-
jacieli i ostoja. Jeśli nie zdołał uciec przed napastni-
kami, to ukrywał je na piersiach pod kurtką, garbił
się, kurczył i poddawał cierpliwie plecy pod twarde,
spadające na nie bezlitośnie kułaki, byle tylko ochro-
nić i obronić skrzypce.

Zresztą — był wesoly.

Głód, chłód i bicie przywykł znosić podobnie, jak
się znosi zmiany pogody. Ludzie zaś nie byli dla nie-
go kimś, od kogo możnaby oczekiwać opieki czy po-
mocy. Dzielił ich na zwierzynę, na którą się poluje,
to jest tych, od których można coś dostać, zarobić czy
wyłudzić i na współzawodników w tem polowaniu,
których trzeba starannie i czujnie omijać.

Jakim sposobem znalazł się pewnego dnia na pro-
gu świetlicy? Pewnie dowiedział się, że istnieje takie
schronienie, że jest w niem ciepło i sucho i można się
napić gorącej herbaty. A tego dnia padał od rana
deszcz ze śniegiem, wiał przenikliwy wiatr i nigdzie
niepodobna było zarobić ani grosza. Jego drżący
z zimna głos nie docierał do mieszkań przez szczelnie
zamknięte okna, a na ulicy przechodnie mijali go szyb-
ko, wtulając nosy w wysoko podniesione kołnierze
palt. Na domiar złego bał się, że skrzypce zmokną
i musiał okręcić je kurtką, a pod kurtką nie miał ni-
czego prócz starej, podartej kamizelki.

Staął więc w progu świetlicy, z której buchało
światło, ciepło, wesoly gwar głosów i nęcący brzęk ły-
żeczek. Wahał się jednak jeszcze. Nie był widocznie

przyzwyczajony do zbyt wielkiej serdeczności ze strony rówieśników.

Ale pan Piotruś dostrzegł go i powiedział:

— A co to za dureń stoi tam w drzwiach i zimna napuszcza?!

I odrazu trzeba było zamknąć drzwi z tej albo z tamtej strony.

Przybysz zamknął je od wewnątrz. Stał jednak nadal w progu, wahający się i niepewny.

Narazie nikt nie zdawał się zwracać na niego uwagi.

Chłopcy, stłoczeni przy stołach, pili herbatę. Pan na Joasia kręciła się między nimi, roznosząc chleb. Józek opowiadał jakąś „wspaniałą“ historję o tem, jak zeszłego roku na prima aprilis rozsprzedał całą paczkę starych gazet jako dodatek nadzwyczajny. Historja była (jak wszystkie historje Józka) najoczywiściej zmyślona i chłopcy wiedzieli o tem, lecz mimo to zanosili się od śmiechu.

Przybysz stał wciąż w progu, oszołomiony ruchem, gwarem, ciepłem i światłem, niezdecydowany, czy nie umknąć i przyciągany z niepokonaną siłą przez rozgrzany do czerwoności piecyk i stół z herbatą.

— Jesteś tu pierwszy raz? — zapytał nagle pan Piotr i słowa jego zwróciły na chłopca uwagę kilku siedzących przy stole gazeciarzy.

— O! nowy! — powiedział Fed'ko.

— Patrz! Ma skrzypce! — zawołał Moniek.

A Janek poznał.

— Przecie to ten Cygan, co po podwórkach i na ulicy gra!

— Cygan! Cygan! — chłopcy zaciekawieni stłoczyli się wokół niego.

Cygan zorjentował się natychmiast w położeniu: chwila była ważna i rozstrzygająca. Wiedział z doświadczenia, że teraz może z równym prawdopodobieństwem dostać w kark i „wylecieć“ za drzwi, jak otrzymać chleb i herbatę.

Uśmiechnął się trochę zuchwale, a trochę obłudnie, pochylił się ku nim wdzięcznym i miękkim ruchem restauracyjnego grajka, wsadził skrzypce pod brodę i skoczna melodia jakiejś ulicznej piosenki popłynęła przez świetlicę.

Chłopcy zrozumieli.

Cygan przychodził do nich podobnie, jak przychodził na podwórza domów. Włóczęga do ludzi osiadłych. „Grajek“ do wypoczywających po trudzie dnia pracowników. Oni byli przecież niejako gospodarzami tej jasnej i ciepłej izby, ludźmi posiadającymi stałe zajęcie, granatowe lub czerwone czapki z lampasami, jakichś gdzieś „zamieszkałych“ rodziców, krewnych, czy choćby znajomych.

I oto ten mały włóczęga przyszedł im zagrać. Wkupił się niejako tą muzyką w ich łaski.

Popatrzyli po sobie z uśmiechem. Dobrodusznym uśmiechem ludzi zamożnych, zagospodarowanych, i ostatecznie — „mogących sobie przecież pozwolić“...

I Janek, którego nie dalej jak wczoraj policjant

wyrzucił z dworca kolejowego, gdzie zwykle sypiał, splunął teraz niedbale przez zęby i powiedział:

— Ta zostań u nas, jak chcesz! Ta nikt ci nie broni! A machnij no jeszcze tego sztajerka!

Fed'ko zaś, który był jeszcze bardzo nieśmiały, bo niedawno przywędrował ze wsi i z tego powodu chłopcy wyśmiewali go, „nabierali“ i nazywali „Iwanem“, dodał protekcyjnie:

— Miejsca dla ciebie wystarczy, nie bój się!

— Ny, czy my ci żałujemy ten kubek herbaty, albo ten kawałek chleba? — uzupełnił Moniek, którego przez dłuższy czas chłopcy nie chcieli wpuścić do świetlicy, gdyż, jak twierdzili, „będą się brzydzili pić po żydziaku“.

I podał Cyganowi kubek z herbatą i kromkę chleba.

Odtąd Cygan zaczął odwiedzać świetlicę.

Z początku tylko wtedy, gdy był mróz, śnieg lub deszcz, potem coraz częściej, a wreszcie stał się jej codziennym gościem.

Przychodził, a wraz z nim przychodziły jego piosenki.

„Szlagiery“ uliczne, podsłuchane gdzieś u śpiewaków podwórzowych, huczne wiejskie tańce z przydrożnych karczem, rozlewne dumki ukraińskie, tęskne i dzikie pieśni cygańskie.

Napełnił świetlicę tą muzyką, przepoił ją niejako, przyzwyczaił ją do niej tak, że kiedy grał, nikt nie zwracał niemal na niego uwagi, ale kiedy przerywał, robiło się nagle nieprzyjemnie cicho. Rozdokazywani

lub zajęci jakąś robotą chłopcy milkli i spoglądali na niego niecierpliwie.

Niespostrzeżenie weszło także w zwyczaj nucenie piosenek Cygana. Mruzczało się je przy szachach, wyśpiewywało się w ich takt zadane lekcje, a nawet używało się ich jako pobudki, drażniącej przeciwnika, zamiast poprzedzających walkę wyzwisk lub triumfalnej fanfary, obwieszczającej zwycięstwo.

Pewnego dnia pan Stach sprowadził do świetlicy jakiegoś starszego pana, który przysłuchiwał się dość długo grze Cygana, a potem powiedział:

— Czy chcesz się u mnie uczyć? Bo to widzisz — nie jest jeszcze muzyka.

Cygan zastanowił się chwilę, poczem nagle podał mu skrzypce i powiedział:

— Niech pan zagra.

Pan roześmiał się, wziął skrzypce i zagrał. Melodja była jakaś obca, nic nie mówiąca, pełna piskliwych, biegnących w górę tonów.

— No? — zapytał, oddając Cyganowi skrzypce.

Cygan wziął je, popatrzył na niego trochę obłudnie a trochę drwiąco z pod przymrużonych rzęs i odpowiedział:

— Nie. Z tej nauki to nic nie będzie.

Pan zaczerwienił się, odwrócił się gwałtownie i wychodząc, mruknął do pana Stacha:

— Nie warto. Zarozumiały, zepsuty i zmanierowany.

Ale chłopcy byli strasznie zadowoleni:

— A to go zmył!

Świetlica bowiem była dumna ze „swego“ grajka.

Nie przeszkadzało to jednak temu, że Cygan zajmował w niej jakieś inne, niż wszyscy chłopcy i dziewczynki podrzędne stanowisko.

Nie był ani ich kolegą, ani towarzyszem, ani nawet — gościem.

Był „ich“ grajkiem.

Nie znaczy to jednak wcale, by mu dokuczano lub krzywdzono go. Przeciwnie. Względem nikogo nie byli może chłopcy tak łagodni i uprzejmi jak wobec niego.

W ciasnej świetlicy kłócono się często, a nawet bito o miejsca. Zaledwie jednak Cygan stawał trochę onieśmielony i jakby wiecznie spłoszony we drzwiach, a już któryś z chłopców podsuwał mu stołek — niech sobie siądzie. Mało się to taki nałazi?...

Swojej kolejki przy herbacie nikt nie ustąpiłby koledze, ale Cyganowi pierwszy z brzegu podawał łaskawym gestem swój chleb i kubek z herbatą — na, podjedz sobie.

Nikomu jednak nie przychodziło nawet do głowy wciągnąć Cygana do jakiejś wspólnej zabawy, wdać się z nim w przyjacielską pogawędkę lub „spróbować na francuską“.

Czy zresztą sam Cygan odczuwał w jakiś bolesny sposób odrębność swego stanowiska, czy też był do tej odrębności przyzwyczajony? Niewiadomo. W każdym razie pozostawał w świetlicy coraz to dłużej i stawał się codzień weselszy, śmielszy i rozmowniejszy.

Znikła gdzieś bez śladu płochliwość jego ruchów. Nie czekał już w progu na podsunięty mu stołek, ale lekko i zgrabnie wskakiwał na stół, jak wesołe i oswojone zwierzątko, które wie, że mu wiele wolno. Siadał na nim, pokazywał w uśmiechu swe białe, równe zęby, i z miejsca zaczynał grać lub paplał coś (na co zresztą nikt nie zwracał uwagi) w swoim łamanym, chrapliwym języku, wybuchając co chwila śmiechem.

Coraz bardziej też zajmowało go, oprócz chleba i herbaty, życie świetlicy. Włóczył się po sali, stawał za plecami chłopców, przysłuchując się ich rozmowom i przyglądając grom, przerzucał książki i pisma i uśmiechał się do obrazków. Nie drzemał też już przy piecu podczas pogadanek, ale błyszczącymi z ciekawości oczyma wpatrywał się w pana Stacha.

A kiedy pewnego razu pan Piotruś przyniósł do świetlicy nowy obrazek i powiesił go na ścianie, Cygan, który stał przed nim długo i przypatrywał mu się z zachwytem, trącił nagle pana Piotrusia w bok i powiedział:

— Ładnie będzie teraz u n a s — co, panie?

W tym to właśnie czasie świetlica otrzymała w darze ping - pong. Gra ta stała się odrazu manją świetlicy i wyparła wszystkie inne gry. Chłopcy gotowi byli się w nią bawić od rana do wieczora. Jednakże ping - pong był tylko jeden. Ustanowiono więc „kolejki“ i gracze musieli długo czekać, zanim zostali dopuszczeni do upragnionego stołu.

Pewnego dnia, właśnie kiedy Antek i Fed'ko

mieli zająć swoje miejsca, Cygan odezwał się najnie-
spodziewaniej swoim niskim, gardłowym głosem:

— Teraz jest moja kolej!

Chłopcy narazie osłupieli. Antek i Fed'ko uznali to jednak widać za dobry żart, bo wybuchnęli śmiechem.

Ale Cygan nie śmiał się wcale. Czerwony z gniewu odsunął od stołu Fed'ka.

— Teraz jest moja kolej! — powtórzył. — Moja i jego!

Każda para graczy rozporządzała tylko dwudziestoma minutami, poza które nie wolno było jej wykroczyć. Czas więc zużyty na spór z Cyganem był czasem niepowrotnie straconym. To też jego natręctwo rozgniewało Fed'ka.

— Twoja kolej! — zawołał. — Ty masz tu coś swojego! Zabieraj się, żebyś nie dostał, czegoś nie zgubił! Zabieraj się, mówię, i nie przeszkadzaj, pókim dobry!

Ale Cygan ani myślał ustąpić.

— To moja kolej! Ty będziesz potem, Fed'ko. To moja kolej teraz!

Fed'ko aż zatrząsł się z gniewu, ale niewiarygodne zuchwalstwo Cygana odebrało mu niemal mowę: ten łazęga, ten miukacz podwórzowy, chce jego, Fed'kę, w kolejce wyprzedzić! Nie, to się poprostu w głowie pomieścić nie mogło!

— Widzieliście no, moi kochani! — zwrócił się tylko do kolegów.

I dziwna rzecz. W mgnieniu oka, niby prąd

iskry elektrycznej, gniew Fed'ka udzielił się całej świetlicy.

Gdyby Cygan poprosił Fed'kę lub któregokolwiek z nich: „dajcie i mnie się choć trochę pobawić!“, to napewno każdy z nich ustąpiłby mu wspaniałomyślnie na parę chwil swojej rakiетки. Ale żeby taki Cygan, taki włóczęga, przygarnięty przez nich z litości, dopominał się u nich, u swoich można powiedzieć gospodarzy, jakichś praw! I żeby taki „pogan“ pchał się do równości i do koleżeństwa z nimi!

Odżyły nagle, drżące gdzieś w głębi serc, wspomnienia cyganek, wypędzanych brutalnie, o ile nie przeszkadzał temu przesylny strach lub ciekawość, od progów najędzniejszych nawet domów i sklepików.

Obozów cygańskich, którym wyznaczano we wsi pewne ściśle określone miejsce z surowym zakazem włóczenia się po chałupach.

Kradzieży, łotrów i „uroków“, które składano na ich barki.

I oto — kolega się znalazł! O „swoją kolej“ się upomina!

Posypały się, jak grad wyzwiska, gwizdy uciechy, szyderskie okrzyki zachęty:

— Dobrze! Nie daj się, Cygan! Przecie tu wszystko twoje! Co będziesz takiego Fed'kę przed sobą puszczał!

Ale Cygan stracił nagle swoją zwykłą czujną ostrożność, swoje wycucie każdego grożącego niebezpieczeństwa i trwogę przed każdym starciem. Stał

naprzeciw nich i zachłystując się łzami, krzyczał, jak nieprzytomny, tupiąc nogami w prawdziwym szale wściekłości:

— To moja kolej! To była przecież moja kolej! — a potem jakby nagle przypominając sobie coś i wysuwając ostatni argument: — I pan Piotruś przecież powiedział, że ja jestem... że ja jestem także... kolega!

I wtedy cała świetlica wybuchnęła śmiechem. Złym, szyderskim, smagającym, jak bicz, śmiechem. Chichotano, pokładano się, zanoszono się, poprostu „ryczano“ ze śmiechu.

Cygan przestał płakać i krzyzczeć.

Jego czarne oczy zwęziły się, ruchliwa smagła twarzyczka stężała, na dziecinnem czole wystąpiła podłużna ciemna żyła, a białe zęby błysnęły, jak u wilczka. Jeden skok i — Cygan rzucił się na Fed'ka.

Rzucił się na niego, zapominając o wszystkim.

O tem, że jest mały i słaby i o tem, że jest sam, i że jest przecież — tylko Cyganem. Nawet o skrzypcach.

Ale wtedy... tak wtedy rzuciła się na niego zgodnie, z rzadką naprawdę solidarnością, cała świetlica: Polacy, Rusini, Żydzi i nawet grzeczny i układny Niemczyk, mały Pepi Glückauf.

Nie. Właściwie nie bito go. Popychano go tylko pięściami, rzucono go sobie, jak piłkę, bawiono się nim w ping - pong'a w jakiejś okrutnej pół zabawie, a pół bójce.

Była jednak w tej „grze“ taka zacięta wściekłość,

że pan Piotruś napróżno usiłował ich przekrzyczeć i utorować sobie drogę do Cygana przez skłębiony tłum chłopców.

W pewnej jednak chwili usłyszał coś, jak trzask drzewa i jęk pękających strun, a potem — krzyk. Krzyk tak straszny i tak nieludzki, że nietylko pan Piotr pobladł i cofnął się, ale wszyscy chłopcy odskoczyli od Cygana przerażeni i w świetlicy zrobiło się nagle zupełnie cicho.

Cygan stał na środku pokoju sam.

Jego smągła, ściągła twarzyczka była teraz biała jak papier, a szeroko rozszerzone oczy wpatrzone z wyrazem tępego zdumienia i przerażenia w skrzypce.

Trzymał je w wyciągniętej przed siebie ręce, jak coś martwego, czego obawia się dotknąć.

A potem powoli, wciąż z tym samym wyrazem tępego zdumienia i grozy w oczach, zbliżył je do siebie i ostrożnie, jakgdyby dotykał ran, dotknął końcami drobnych, smukłych palców, zerwanych strun i strzaskanego drzewa. I nagle, z krzykiem straszniejszym jeszcze i bardziej przejmującym niż poprzedni, krzykiem, w którym brzmiały jakieś obce i nieznanne wyrazy rozpacz czy bólu, odrzucił od siebie skrzypce, uderzył głową w drzwi tak, że się przed nim roztworzyły i wypadł na ulicę.

Chłopcy i pan Piotr stali jak wmurowani w ziemię, nie śmiejąc odezwać się i poruszyć.

Pierwszy ocknął się Józek.

— Trzymać go! Trzymać! Nie wypuszczać! —

krzyczał i rzucił się za Cyganem, a za nim cała świetlica.

Napróżno jednak rozbiegli się po wszystkich ulicach, napróżno zaglądali do bram, napróżno przetrząsali całą dzielnicę — Cygan zniknął, jakgdyby się w ziemię zapadł.

Wieczorem wrócili na herbatę zmęczeni i milczący.

Nikt nie żartował, nikt nie bił się, nikt nie kłócił się o drugą porcję chleba. Jedli w milczeniu, wpatrzni ponuro w swoje kubki, od czasu do czasu zerkając tylko ukradkiem na pana Piotra, który siedział przy oknie z książką, nie zwracając na nich uwagi, jakgdyby ich wogóle w świetlicy nie było, i — nic. Ani słowa. Jakby go замуrowało. Że aż niewiadomo było, gdzie się podział, że aż znieść tego nie było można!

Wreszcie Józek odważył się pierwszy.

— Panie Piotrusiu — powiedział.

— No? — zapytał obojętnie pan Piotr, podnosząc z nad książki oczy chłodne i jakby nikogo nie widzące.

— Ile my mamy w naszej kasie?

— Koło 45 złotych.

— A... a czy za to można kupić skrzypce?

Wszyscy chłopcy drgnęli i nagle podnieśli oczy.

— Można — odburknął niechętnie pan Piotr.

— No to... — zawołał Moniek, który siedział skurczony nad swoim kubkiem i nie tknął nawet jeszcze chleba — no to... załatwione!

Ale pan Piotr spojrział na niego z taką zimną

pogardą, że Moniek skulił się jeszcze bardziej, jak pod uderzeniem pięści.

I odtąd chłopcy zaczęli czekać na Cygana.

Właściwie nie mówiło się o nim wcale. Tylko kiedy przychodziła ta pora, o której zwykle wpadał do świetlicy Cygan, wszyscy podnosili głowy za każdym skrzypnięciem drzwi.

I nikt już nie nucił.

I nikt nie chciał bawić się w ping - pong'a.

Mijały dni. Cygan nie wracał. Ale (dziwna rzecz) nie można się było do tej jego nieobecności przyzwyczaić.

W świetlicy było przecież niby tak ciasno i tłoczno, a jednak miało się ciągle wrażenie, że jego miejsce jest puste, i że nikt nie może go zająć.

Było to tak, jakgdyby nagle wytworzyła się niczem niezapełniona próżnia. Bo niby krzyczą chłopcy, rozmawiają, sprzecząją się, ale poza tem wszystkim zamiast muzyki Cygana jest tylko dzwoniąca cisza.

Pewnego wieczoru w świetlicy było dziwnie szaro, smutno i nudno.

Padał taki sam deszcz ze śniegiem, jak wówczas, kiedy Cygan przyszedł do nas po raz pierwszy. Kilku chłopców przewracało, ziewając, stare pisma ilustrowane. Kilku grało w domino, ale tak jakoś niedbale i od niechcenia, nie patrząc niemal na kostki.

Pan Piotruś i Józek stali przy oknie.

Przez zamazane szyby ledwie było widać skrawek wciśniętego między mury kamienie podwórka. Ale oni stali już od godziny, jakby wyglądali kogoś,

kto musi dzisiaj nadejść. Nikt jednak nie przychodził. I wreszcie Józek nie mógł już dłużej znieść tego milczenia i wybuchnął:

— A przecież lubiliśmy go wszyscy!

— Tak! wszyscyśmy go lubili! — zawołał Fed'ko i gwałtownie odsunął od siebie szachownicę.

Pan Piotruś uśmiechnął się blade.

— Tak. Lubiliście go, Póki nie poczuł się równy wam i bliski i nie zaczął się upominać o swoje prawa. To bywa, moi chłopcy, to bywa.

— Ale przecież on pierwszy zaczął! Przecież wszyscy mogą zaświadczyć, że pierwszy!

— No tak, moi chłopcy, no tak. Skrzywdzony zaczyna zawsze pierwszy.

Deszcz uderzał miarowo o szyby i ściekał po nich dużemi kroplami, roztopiającemi się w długie, srebrne strumyczki. A cisza w świetlicy dzwoniła natrętnie, dokuczliwie, nieznośnie.

I Józek czuł, jak pęcznieje w nim i rośnie bunt przeciw deszczowi, przeciw temu zamkniętemu w murach jak w studni podwórku, przeciw konieczności tego, co jest i co było.

Bo wszakże zawsze powinno być wolno (jeżeli się tego naprawdę chce) — wymazać!

— No dobrze! — zaczął niemal krzyczeć — No dobrze! Niech będzie, żeśmy go skrzywdzili. Ale dlaczego on nie przychodzi, jeżeli my chcemy naprawić?! Dlaczego jego niema?!

Pan Piotr milczał chwilę. Brwi miał ściągnięte, a oczy śmiertelnie smutne.

— Widzicie, moi chłopcy,—powiedział cicho — najgorsze w życiu to jest właśnie to, że krzywdy nie można naprawić.

Prawie nigdy.

D O M.

Jutro wszyscy chłopcy przyjdą do świetlicy na wilje.

Będą pierogi, barszcz, śledzie, kutja *) z makiem i z miodem — wszystko, jak się należy. A stoły przykryje się białymi obrusami — tak!

Moniek i Salek też zostali zaproszeni.

— Przyjdźcie do nas na święta! — powiedział Stefek, a potem dodał uprzejmie, a nawet, można powiedzieć, wytwornie: — Będzie nam bardzo miło...

Salek zmieszał się i przestraszył, bo nigdy nie był „na katolickich świętach“ i trochę się bał. Ale Moniek odpowiedział grzecznie, jak przystało człowiekowi, obytemu w świecie, człowiekowi, który już z niejednego pieca chleb jadł:

— Dziękujemy bardzo. Wpadniemy chętnie, jeżeli tylko czas pozwoli. Dlaczego nie?...

Tego dnia panował bowiem w świetlicy nastrój wzajemnej życzliwości, a nawet kurtuazji.

Nikomu przecież nie chce się bić i kłócić, jeżeli w rogu pokoju stoi — choinka. Ich własna choinka.

*) Kutja — kasza z makiem i z miodem.

Dla wielu — pierwsza w życiu. Ozdoby na nią robiono całe dwa tygodnie. Leżą na szafie, w dużym, tekturowym pudle. Panna Joasia przystroi niemi choinkę przed samą wilją. Trzeba jeszcze tylko wyszorować świetlicę. Roboty jest dużo, przed północą się nie skończy. Ci chłopcy, którzy mają jakiś dom, nie mogą zostać, bo rodzice, krewni, czy gospodarze nie pozwolą im na to. Zostaną więc ci, którzy nie mają nikogo, ktoby się o nich niepokoił, lub ktoby nie życzył sobie, być budzonym „po nocy“ — ci, którzy wcale nie mają domu.

Jest ich sześciu.

Józek i Gawryłka z „Porannej“, którym czasem dozorca pozwala nocować na podwórku redakcji.

Kurt i Kazik, śpijący pod straganami.

Moniek z „Expresu Wieczornego“, mieszkający w pewnym starym, nawpół rozwalonym składzie (wchodzi się przez wybite okienko).

I wreszcie Franek, o którym nikt nie wie, co robi i gdzie się podziewa.

Panna Joasia zostanie z chłopcami. Przez ten czas, gdy będą szorowali, wypierze im na jutro koszule i załata kurtki. Bo cóż z tego, że byli w łaźni, kiedy koszule czarne, jak święta ziemia? A potem chłopcy rozciągną się na ławach, zrana zaś panna Joasia, której pokój mieści się obok świetlicy, wypuści ich tak, żeby stróż nie widział — gospodarz domu nie życzy sobie, by chłopcy nocowali w świetlicy.

Robota idzie wesoło i sprawnie.

Deski podłogi, ławy i stoły aż lśnią od czystości,

a koszule, których niezwykła białość zadziwia ich właścicieli, wiszą jusz rzędem na długim sznurku, przeciągniętym przez świetlicę.

Panna Joasia kazała zapalić w piecu, żeby chłopcom nie było zimno i teraz wszyscy siedzą przed ogniem.

Na piecyku gotuje się duży garnek mamaługi ze skwarkami, pachnie choinką, panna Joasia pochyła głowę nad stosem kurtek, a odblaski ognia pełzają po jej jasnych włosach.

Jest dziwnie radośnie i świątecznie. Noc zaś, która nadejdzie, nie będzie dla chłopców nocą niepokoju, nocą ciągłego czuwania, czy nie słyhać kroków policjanta, czy nie błyska światelko lampki elektrycznej i czy nie spędzą cię brutalnie z legowiska, zdobytego z trudem*). Ciche ściany, bezpieczne i chroniące, odgradzą ich dzisiaj od świata.

I nagle Janek mówi:

— A u mnie w domu, w mojej wsi, to nie robi się na święta kutji, tylko kluski z makiem i z miodem i racuszki na oleju.

— A u nas znowu — mówi Kurt — na naszej kolonji, bo my jesteśmy z Niemców, to na Boże Narodzenie piecze się gęś z jabłkami i te pieczone jabłka to tak pachną, ale powiadam wam — pachną!

— Na wilję — gęś?! — gorszy się Janek.

— Cóż? — łagodzi Kazik. — Co kraj to obyczaj.

*) Przepisy policyjne nie pozwalają nocować na ławkach, na dworcu lub „na budowie“.

A u nas znowu to chodzą kolędnicy. Ale nie takie jak we Lwowie z papierową szopką, ale poprzebierane. Jeden za Heroda, a inni znowu za diabła, śmierć, trzech króli, rycerzy. A z nimi chodzi taki jeden przebrany niby za Żyda z workiem i wszystko co im dadzą, do tego worka ładuje.

— A to i u nas także!

— I u nas!

— A jak ja byłem takim pędrakiem, to się strasznie bałem tego diabła, co z kolędnikami chodzi. I jak tylko kolędnicy we drzwi, to ja zaraz do matki i głowę w spódnicę!

— A ja to się zaraz na łóżko wdrapywałem i hyc pod pierzynę!

— A u nas — powiedział trochę nieśmiało Moniek — to też jest takie święto, co się przebierają i ono nazywa się — purym.

No, — zdziwił się Kazik — a za co wy się możecie przebierać?! Przecie nie za Żydów?!

— Dlaczego my się mamy przebierać za Żydów? My mamy swoje króle i proroki. A oprócz tego, w mojem miasteczku to chodzi z nimi taki jeden, co jest przebrany za niedźwiedzia. I jak ja byłem mały, to ja się go też bałem i też się chowałem do matki pod pierzynę.

Ale kasza już jest gotowa i panna Joasia zdejmuje garnek z pieca.

— Tylko w czym ja ją wam dam, chłopcy? — kłopotce się. — Bo łyżki to mam, ale tylko jeden ta-

lerz. Może będziecie jedli pokolei, albo może — nałożę wam do kubków od herbaty?

Chłopcy spoglądają po sobie i jedna i ta sama myśl olśniewa ich nagle.

— Nie, proszę pani! nie! — woła Janek. — My z garnka, wszyscy razem!

— Ale co znowu! — protestuje panna Joasia — to widzicie, chłopcy, nie jest ani zdrowo, ani ładnie, bo...

Chłopcy jednak nie dają jej skończyć.

— Niech nam pani pozwoli! Raz chcemy zjeść nie jak w głodnej kuchni*), po ludzku, z jednej miszki — jak w domu!...

I panna Joasia nie mówi już nic. Nie sprzeciwia się. Stawia pośrodku garnek, tak jak u nich w chacie stawiano miszkę i rozdaje im łyżki. Pokolei, uważając, żeby się „nie podjadać“, zanurzają chłopcy łyżki w kaszy.

Nie trącają się, nie śmieją się, nie przekomarzają, jak w świetlicy.

Jedzą poważnie, po gospodarsku, w milczeniu.

Panna Joasia patrzy na ich skupione twarze i uśmiechnięte, szczęśliwe oczy i myśli, że pewnie w tej chwili ani jeden z nich nie pamięta głodu, sieroctwa, bicia — wszystkiego, co ich wyrzuciło w świat. Widzą tylko — dom. Cichy i bezpieczny, jak przystań.

*) „Głodna kuchnia“ — w języku uliczników kuchnia dla bezrobotnych, jadłodajnia miejska.

Swój własny. Inny od wszystkich innych. Jedyny na ziemi.

Tylko Franek nie uśmiecha się.

Patrzy ponuro w ogień.

Milczy.

FRANEK ORZE.

Kiedy pewnego razu zapytano Franka, czem chciałby zostać, odpowiedział ponuro, patrząc z podłba:

— Bandytą.

Pan, który zadał owo pytanie, a który był przypadkowym gościem w świetlicy, aż pobladł z wrażenia...

Joasia — nie.

Mimo to poczuła dziwne ściśnięcie serca. Rozumiała bowiem dobrze, że taka odpowiedź znaczy:

— Powiem ci coś takiego, żeby cię szlag trafił i żebyś się tu więcej nie pętał! A wara ci od tego, czego ja chcę!

Była bowiem w tym chłopcu straszliwa nienawiść przeciw losowi i ludziom i wiecznie czujna nieufność i ogromna skrytość serca.

Jednej tylko pannie Joasi, może dlatego, że była jeszcze taka młoda, udawało się czasem szczerzej porozmawiać z Frankiem, niejako „dotrzeć do niego“.

Opowiedział jej, jak to, gdy nie miał jeszcze dwunastu lat, „wyrzuciło go“ w świat z rodzinnej wsi.

I o tem, jaka była ich chata i ile rosło śliwek, a ile gruszek w sadzie i że jedna jabłoń wcale nie rodziła i o psie, i o krowach, o całym obejściu, o wszystkim...

A potem także o tem, jak żebrał, mył ławki przekupkom, sprzedawał gazety — o dalszem „przeklętem“ życiu.

— Będzie jeszcze wszystko inaczej, zobaczysz. Franku! — mówiła panna Joasia.

Ale Franek potrząsał tylko głową.

Nie. Nie wierzy. Nic się już nie zmieni. Tamci — to co innego. Są jeszcze mali, może się czego nauczą. Zresztą oni są z miasta i dobrze im w mieście. Ale on...

Kiedy zaczęliśmy mówić z chłopcami o działce ziemi, którą Towarzystwo Ogródków Działkowych da świetlicy, Franek wzruszał tylko ramionami.

Ziemię w dzierżawę takim ulicznikom kto da! Już lecą! Żeby tylko butów nie pogubili!

Mimo to, choć pozornie nieufnie i niechętnie, przysłuchiwał się chciwie wszystkiemu.

I wreszcie pewnego dnia raczył niedbale zapytać gdzież to nam „te posesje“ wydzielają i czy można aby „te dobra na księżycu“ obejrzeć?

I owszem — poszedł z panną Joasią.

A kiedy stanęli na przeznaczony dla świetlicy parceli, wziął garść ziemi w ręce, rozgniół ją w palcach i nawet zdaje się powąchał, a potem skonstatował łaskawie, że „choć to je ugór, ale ziemia dobra — tłusta“!

— A widzisz! — powiedziała panna Joasia.

Ale okazało się, że triumfowała zawczasie. Franek bowiem rozejrzał się uważnie i nagle zapytał surowo:

— A gdzie są paliki?!

— Jakie znowu „paliki“?

— No przecie te, co pokazują odkąd ta działka jest nasza, niby — świetlicy.

Panna Joasia wyjaśniła, że działka nie jest jeszcze odmierzona i że dopiero w tych dniach...

Ale Franek pokiwał tylko głową nad jej bezgraniczną naiwnością i poszedł, zostawiając ją głęboko upokorzoną i wściekłą.

Z sennym też i umyślnie tępym wyrazem twarzy słuchał, gdy p. Joasia mówiła później o tem ich przyszłym wspólnym gospodarstwie.

O tem, jak to będą wszyscy pracować dla wszystkich, dla tego wspólnego, gromadzkiego dobra i jaka to musi być u nich zgoda i wzajemna pomoc i szacunek i zaufanie, żeby ich działka wszystkim świeciła przykładem.

Nie brał też nigdy udziału w dyskusjach chłopców, którzy już się za czuby często brali, sprzecząc się nietylko o to, czego i ile będzie się siać, lecz nawet o to, czy obsadzą altankę powojem, czy dzikiem winem...

A kiedy panna Joasia zagadnęła go wprost o przyczynę tej obojętności, odparł:

— My tu baju baju, a miasto taki ziemi nam nie da! Ja będę gadał, jak zobaczę odmierzoną parcelę i paliki!

Ale tu już Janek, który chłonał każde jej słowo, nie mógł wytrzymać z tej irytacji:

— A cholera by cię wzięła z temi palikami! Ta zdurniał chłopak czy co?! Przecie ci powiedziała pani, że za parę dni się odmierzy!

Ale Franek uśmiechnął się tylko krzywo i burknął:

— Jak się odmierzy — to się będzie gadać!

Więc pan Stach pokiwał głową i powiedział:

— Złe to jest, Franku, że tobie tak się o te paliki rozchodzi. Bo widzisz, jaka to jest ta ziemia, którą dostaniecie? Gminna ziemia, całego Lwowa, gromadzka. I to sobie jeszcze musisz rozważyć, Franek, poco Towarzystwo Ogródków Działkowych tę ziemię chce uprawiać. Oto widzisz chce, żeby ta ziemia, na której są teraz tylko cuchnące śmietniska, stała się parkiem dla dzielnic nie posiadających ogrodów. Taka dzielnica żółkiewska n. p. — brud, smród, prawdziwa zaraza. Robotnik, gdy wróci po pracy, a wyjdzie przed dom, łyku świeżego, ożywczego powietrza złapać nie może. W pyle, gnoju i zaduchu bawią się dzieci i wyrastają na ludzi chorych i złamanych. Więc nasze miasto pragnie, by nie tylko każdy człowiek mógł mieć kawałek ziemi, a na niej jarzyny, kwiaty i drzewka owocowe, ale żeby z tych działek powstał park, w którym wszyscy ludzie mieliby trochę zieleni, kwiatów i nieba.

A potem rozłożywszy jakiś plan, pokazywał:

— Bo to widzicie chłopcy, będzie tak:

Tędy będą szły drogi między działkami, a tu

będzie duży plac dla zebrań działkowców i zabaw, a tu znowu pływalnia.

Drugi wysadzi się drzewami owocowymi i te drzewa będą sobie stały na wiosnę takie białe i kwitnące, a pomiędzy nimi będą biegały dzieci. A przed altankami, tonącemi w zieleni dzikie go wina, róż lub kwitnącego groszku, usiądą sobie wieczorem po pracy ich ojcowie.

Ale to wszystko musi być zrobione wspólnemi siłami działkowców.

Każdy z nich będzie pracował nad karczowaniem ugorów, każdy z nich nietylko swoją działkę uprawi, ale weźmie udział w ogólnej pracy dla wspólnego dobra i wedle jednego wspólnego planu. Bo rozumiecie, że jeżeli te wszystkie działki mają razem tworzyć wspólny park, to każdy nie może siać i sadzić na swojej wszystkiego, co mu się podoba. Ot tędy n. p. przechodzi przez wszystkie działki droga i ta droga ma być obsadzona czereśniami. Więc każdy musi ten kawałek drogi, który do jego działki przylega obsadzić drzewkami.

A tu znowu działki otaczają placyk zabawowy. Naokoło zaś tego placyku ma iść kwiatowa rabata; wszyscy więc, których działki do niej przylegają, muszą je obsadzić kwiatami — rozumiecie?

— Co nie mamy rozumieć! — powiedział Józek — A gdzie jest ta nasza działka?

— O tu — i pan Stach pokazał na mapie działkę, oznaczoną czerwonym krzyżykiem.

Chłopcy pochylili się wszyscy nad stołem, wpa-

trzeni w ten mały odcinek planu, pełni jakiegoś dziwnego wzruszenia i dumy.

— Teraz — powiedział Stefek — wygląda pan jak generał, pokazujący plan bitwy, a my jak oficerowie sztabowi.

— Bo też — roześmiał się pan Stach — to jest tak nawet potrosze naprawdę. Ten mały odcinek to jest plac boju, na którym świetlica musi wygrać swoją walną bitwę. A te sąsiednie odcinki o tu, widzicie, z prawa i z lewa, to nie jakaś „ziemia obcych ludzi“, ale bratnie placówki tych wszystkich, którzy ramię przy ramieniu z wami będą walczyć o piękno i zdrowie naszego miasta. No więc jak, Franku, czy są naprawdę takie ważne te „paliki“.

Franek patrzył pochmurnie w ziemię.

— A bo, proszę pana, ja zrozumiałem, że to, co pan mówi, jest dobre. Ale tak mi się jakoś zdaje, że ta ziemia, to nie będzie taka zupełnie nasza, że nie będziemy na niej tak zupełnie gospodarzami.

— Dlaczego, Franku?

— A bo, widzi pan, n. p. te kwiatki, co to niemi trzeba każdą działkę obsadzić, albo ten kawałek drogi, który każdy musi przez swoją działkę przeprowadzić... Nie o to, żebym nie chciał, ale co mi ma kto na mojej ziemi rozkazywać?!

— Widzisz, Franek, — tłumaczył pan Stach — to jest tak, że jak się chce, żeby na świecie było dobrze, to trzeba zawsze z tego swojego prawa gazdowania trochę ustąpić — trudno. Ale za to zyskuje się inne, większe gospodarstwo. Bo przecież stajesz się jakby

współgospodarzem całego tego obszaru. A przez to znowu, że na nim pracujesz, bierzesz udział w pracy dla całego miasta. I jesteś nietylko jego robotnikiem, ale i świadomym, zmieniającym jego oblicze i wygląd gospodarzem.

Franek westchnął ciężko.

— To jest prawda. Ja nie mówię, że nie. Ale jabym chociaż chciał wiedzieć, odkąd dokąd będzie ta moja praca i jabym chciał, żeby tej ziemi, na której my będziemy robili, było jak najwięcej. Bo jak to będzie taki mały kawałeczek, co go wcale nie widać, to ci sąsiedzi powiedzą — tylu chłopaków, a patrzcie, co zwojowali! A oprócz tego, to jak ja nie mam swojego pola odgrodnionego, to ja nie mogę wierzyć, że to już jest murowane, że to nie jest tylko taka — „pogadanka“...

I Franek dalej odnosił się do całej sprawy nieufnie.

Dopiero kiedy panna Joasia zamówiła już chłopca z pługiem i z broną, Franek nagle spoważniał: sprawa zaczęła nabierać w jego oczach ciężaru i wagi...

Pług i brona... Tak, teraz można się było na prawdę z tem liczyć...

I ku zdumieniu wszystkich oświadczył:

— Ale z tym chłopem, to ja już sam pójde. Wiadomo, jak to się robi na cudzem...

Dzień był pogodny i jasny, choć trochę chłodny.

Wbrew swemu zwyczajowi Franek nie puszczał po drodze pary z ust, choć go panna Joasia kilka razy zagadywała. Odmrukiwał tylko z grzeczności ni to ni

owo. Na rogatce spotkali się z chłopem i z inżynierem z Towarzystwa Ogródków Działkowych. Jednakże na parceli nie było wbitych „palików“, a inżynier oznaczył przestrzeń jakimiś starami, znalezionymi na pastwisku blaszankami.

Nie widziało się to jakoś Frankowi. Zapytał jednak zgłupia frant:

— No, a jak nie utrafimy i zdziebko więcej się zaorze?

Inżynier uśmiechnął się lekko:

— Nie będziemy się przecie wadzili o jedną skibę — powiedział. — Ale nie wiem, czy i tyle w jeden dzień zrobicie, a jutro już się dokładnie odmierzy.

Franek gwizdnął tylko, roześmiał się szelmowsko i huknął na chłopca:

— Od początku zaczynamy czy od środka?

A potem przykazał twardo już i bez śmiechu:

— A bierz głęboko!

I poprowadził konie.

Pług zarył się w ziemię.

Czarne skiby odwalały się jedne za drugimi.

Tłuste, białe pędraki wypełzały zdziwione z ziemi.

Wrony kołysały się w bardzo bladym, trochę przemarznętym błękicie nieba i spadały za pługiem, zerując.

Opodal stała gromadka bab i dzieci i przyglądała się oraczom w niemym podziwieniu.

Wreszcie jedna z kobiet powiedziała:

— Patrzcie no, patrzcie, moi ludzie! Jak tylko pamiętam było tu pastwisko, a teraz będzie pole...

A potem dodała z nabożną powagą:

— Zawsze co pole, to — pole!...

Ale Franek nawet nie drgnął.

Szedł bez czapki, spokojny i jakgdyby nagle wyższy, z twarzą nie tą samą, całą stężałą w skupieniu.

Panna Joasia poczuła się nagle dziwnie oniesmielona i zbyt czarna.

Jakgdyby tylko Franek i ta ziemia należeli do siebie, a ona, jego opiekunka, która przecie zawsze do tyłeczka nim kierowała, której się we wszystkim służył i radził, była tu obca i niepotrzebna.

Więc żeby jakoś uratować sytuację, krzyknęła na Franka:

— Ażebyś mi tu cały dzień nie pracował o głodzie, tylko tak jak ci powiedziałam, o dwunastej przyszedł do mnie na obiad!

Ale Franek wzruszył ramionami:

— Tracić czas na bieganie na obiad, kiedy inżynier powiedział wyraźnie:

„Nie będziemy się przecie wadzić o jedną skibę!“

Ale — co się tam kobieta, choćby i opiekunka, może rozumieć na gospodarce!

Nie odwrócił więc nawet głowy, tylko przykazał krótko, po gospodarsku!

— Obiad to mi ta już tu przyniesiecie!

Pannę Joasię aż zatchnęło.

Stała przez chwilę nieruchomo, patrząc na niego w niemem zdumieniu.

Ale Franek nie zwracał na nią uwagi. Franek, ten chłopak, który jeszcze wczoraj czuł się bezdomny i samotny, siedł teraz przez swoje i gromadzkie pole, poważny i dostoyny, prowadząc — pług.

Więc panna Joasia zawróciła pokornie i poszła do domu przygotować dla niego strawę.

Ale po drodze stanęła raz jeszcze i popatrzyła za nim.

Wiatr rozwiewał lekko jego bronzową czuprynę, która wydawała się teraz w słońcu, miedziano - złota. Twarz miał jakby zastygłą w uniesieniu, a pospolite rysy nabrały dziwnej szlachetności.

I nie wiedząc sama dlaczego, Joasia zawołała ku niemu radośnie:

— Franek! Franek!

Ale Franek nie słyszał.

Orał...

„FRATERNITAS“ — PLANETA BRATERSTWA.

Zdaje mi się, że ani jeden z uczonych europejskich nie wie, gdzie znajduje się planeta „Fraternitas“.

Odkrycie klubu gazeciarzy lwowskich pozostało dotychczas obce astronomji, a co więcej, uczeni nie podejrzewają nawet, że w naszym systemie planetarnym

istnieje pewne niedopatrzenie karygodne i wysoce niepokojące.

Historja odkrycia, o którym chcę tu opowiedzieć, jest następująca:

Około roku 1932, każdy przechodzień, zdążający wieczorem ulicami Lwowa, mógł z łatwością zaobserwować wzrost zainteresowań astronomicznych w tem mieście. Niedaleko bowiem lokalu, w którym mieścił się klub gazeciarzy, a często i na innych ulicach, można było spotkać o tej porze grupki chłopców od lat ośmiu do ośmnastu, stojących z zadartymi głowami i wskazujących sobie z namaszczeniem: Wenus... Mars... Jowisz... Saturn... Syrjusz... Spica... Wega...

Ciekawy przechodzień, który zatrzymałby się przez czas dłuższy przy takiej grupce, mógłby nadto usłyszeć rozmowy o tem, czy możliwe jest skonstruowanie własnymi siłami „prawdziwej“ lunety, oraz o tem, że aeroplan, balon i kula armatnia są „do niczego“, jeśli chodzi o podróż na Marsa, natomiast pocisk raketowy załatwi tę sprawę w niedługim już zapewne czasie. A wówczas... a wówczas... kto wie, czy nie będzie potrzebnych kilku dzielnych i nie lękających się niczego chłopców, którzy wylecą w przestworza jako pierwsi podróżnicy? Gdyby zaś nawet tacy chłopcy nie okazali się potrzebni, to przecież każdy z nich potrafiłby już sobie dać radę: „Ta joj! Ta żeby już tylko była ta rakiet!“...

I rzeczywiście, gdyby profesor Opel skonstruował w r. 1932 swój pocisk raketowy i gdyby uczy-

nił to we Lwowie, to mogę z niezachwianą pewnością twierdzić, że w czasie swej międzyplanetarnej podróży odkryłby pod ławkami cały klub gazeciarzy, szwarujących się na Marsa na gapę...

Winien zaś wszystkiemu był, oczywiście, pan Stach.

Nie można przecież nie zapalić się gorącą i nienasyconą ciekawością i żądzą poznania, słuchając, jak w olbrzymim bezmiarze świata rodzą się ze słońce planety, jak rozżarzone światy stygną miliony lat, jak pojawia się na ziemi pierwsze życie, jak pierwszy człowiek bezbronny i nieświadomy wobec natury i żyjący życiem drapieżnego zwierzęcia, powoli podnosi głowę, uczy się wytwarzać coraz to doskonalsze narzędzia, zdobywa coraz to nowe wiadomości, aż wreszcie, po milionach lat rozwoju, sięga zuchwałą myślą aż w niebo, mierzy przestrzenie wszechświata, bada istoty i drogi wirujących słońc, dalekich planet i ich księżyców.

— Bo pomyślcie tylko! — wołał pan Stach. — Księżyc, glob najbliższy ziemi, oddalony jest od niej o 380.000 km.! A człowiek zna nietylko jego drogi, góry i doliny, ale nawet istotę budowy! Cóż zaś dopiero powiedzieć o dalszych planetach i gwiazdach?

A przecież te wszystkie planety, to tylko planety naszego systemu słonecznego, wszechświat zaś jest nieskończony.

I pan Stach opowiadał o ludziach, którzy narażając się często na utratę stanowiska, szacunku, a nawet życia, służyli wiedzy i prawdzie, rozszerzali nasz

widnokrag, zdobywali dla nas nieskończoność wszechświata.

Czy jest więc w tem coś dziwnego, że każdy z chłopców pragnął zostać jednym z tych bohaterów nauki, że marzył o tem tak gorąco, jak inni chłopcy marzą o tem, by zostać Tomem Mixem lub choćby Kusocińskim?

I nie tylko marzył o tem, ale starał się do tego przygotowywać, gdyż jak się z rozmów z panem Stachem okazywało, słuchanie pogadank nie stanowiło jeszcze dostatecznego przygotowania w tym kierunku... Trzeba się było wielu jeszcze rzeczy nauczyć i lekcje pana Leona, który miał dotychczas po trzech, czterech słuchaczy, poczęły się nagle cieszyć niezwykłą frekwencją.

Jeżeli pragniemy czegoś bardzo mocno i dążymy do czegoś wytrwale, to prawie zawsze marzenie nasze choć w części zostaje spełnione.

I wprawdzie (przynajmniej dotychczas) ani jeden z naszych chłopców nie został Kopernikiem, Keplerem, czy Galileuszem, to jednak naszej świetlicy przypadł w udziale zaszczyt uczynienia pewnego spostrzeżenia, które było może wprawdzie spostrzeżeniem natury formalnej, ale niemniej, jak to się niebawem okaże, niezmiernie ważnem.

Oto pewnego dnia, podczas wykładu pana Stacha, Józek zapytał zniemacka:

— Proszę pana, a — ziemia? Zapomniał nam pan powiedzieć, jak się nazywa ziemia.

Chłopców ogarnęło nagle podniecenie:

— Tak! Tak! Że też nikomu nie przyszło to dotychczas na myśl! Jak się nazywa ziemia?!

— Jakto, „jak się nazywa ziemia“? — zdziwił się pan Stach — no, ziemia, to jest przecież... ziemia...

— Dobrze, że „ziemia“. Ale to nie jest nazwa! Mars jest także ziemią! Ale im chodzi o nazwę. Bo jeśli np. Wenus nazwali tak ludzie dlatego, że świeci jasnym i pięknym blaskiem, a Wenus, to bogini piękności, to jak nazwali ziemię, swoją ziemię, swoją własną planetę?!

Patrzyli na niego pełni gorączkowej ciekawości.

Pan Stach był po raz pierwszy zupełnie zmieszany i stropiony. Dłuższą chwilę milczał.

— Bardzo mi przykro, moi chłopcy, — powiedział wreszcie — ale ziemia... hm... ziemia... nie posiada nazwy.

— Nie posiada nazwy! Ależ to coś niesłychanego! Coś zupełnie nieprawdopodobnego! Coś, w co poprostu niepodobna uwierzyć!

Józek spojrzał nawet podejrzliwie na pana Stacha i powiedział surowo:

— Czy pan jest tego aby pewny?! Bo jeżeli pan tylko nie wie i blaguje, to niech się pan lepiej odrazu przyzna!

A Janek dodał pojednawczo:

— Przecie każdemu może się zdarzyć... zapyta się pan jutro swego profesora na uniwersytecie i powie nam...

Ale pan Stach aż uderzył się w piersi z przejęcia i zapewnił uroczyście:

— Jak Boga kocham, że ziemia nazwy nie posiada!

— Ale dlaczego?! Dlaczego?! Przecież to się w głowie nie mieści! Dlaczego ci uczeni jej nie nazwali?!

— Czy ja wiem? — powiedział zawstydzony pan Stach. — Czy ja wiem? Może zapomnieli? Uczeni są, jak wiadomo, trochę roztrzępani...

— Ładne „roztrzępanie“! Poprostu bagatelka! Zapomnieć nazwać ziemię!...

Pan Stach usiłował usprawiedliwiać.

— Bo widzicie... może oni nie przywiązują takiej wagi do nazw... a przytem, rozumiecie, oni ciągle byli na ziemi, z ziemi robili swoje obserwacje, więc...

Ale Stefek, ten, który chodził do gimnazjum i który najlepiej ze wszystkich chłopców umiał się wyśłowić, oświadczył stanowczo:

— To jest przedkopernikowski punkt widzenia!

— Jakto? Co przez to rozumiesz? — zdziwił się pan Stach.

— A tak! Ziemia jest punktem pozornie nieruchomym, z którego się robi obserwacje i dlatego się na nią nawet nie patrzy. Ale niechby się przenieśli myślą na słońce i stamtąd spojrzeli, to zarazby im się przypomniało, że planeta, krążąca pomiędzy Wenus a Marsem, nie ma nazwy!

Pan Stach westchnął smutno.

— I to prawda! Pewne rzeczy są w nas mocno zakorzenione...

— No dobrze! — zawołał Józek. — Ale prze-

ież nie może być, żeby nikt tego dotychczas nie spostrzegł i nie zwrócił im na to uwagi! Każdy złowiek ma swoje imię, ba, nietylko człowiek, ale nawet zwierzę, które żyje z człowiekiem. Każdego psa, krowę, kozę — wszystko się jakoś nazywa. Nietylko państwo, ale miasto, najdrobniejsza nawet wioska ma woją nazwę. A niektórzy, jak wybudują sobie willę czy domek, to go też jakoś nazywają. A ziemia, cała ziemia, która jest przecież ojczyzną i domem wszystkich ludzi, nie ma imienia?!

— A jednak — powiedział pan Stach. — Wyście pierwsi zrobili to spostrzeżenie.

I wtedy nagle, Józka clińska pewna myśl. Zebrał się, jak podrzucony sprężyną i cały czerwony przejęcia zawołał:

— Ale w takim razie... ale w takim razie... to myśmy to odkryli i... i mamy prawo ją nazwać!

Świetlica znieruchomiała z wrażenia, a pan Stach odpowiedział po chwili:

— Tak, to nie ulega wątpliwości — macie prawo ją nazwać!

Trudno wyobrazić sobie entuzjazm, jaki wywołało jego oświadczenie.

Otrzymać prawo nadania nazwy całej ziemi! Czyż nie jest to zaszczyt większy, niż najwyższe odznaczenie naukowe?!

— Tak! — powiedział pan Stach. — Ale musicie zdać sobie sprawę, że ciąży na was wielka odpowiedzialność! To przecież nie byle co — nadać nazwę całej planecie! To nie dziecinna zabawka. Po-

myślcie! Taka olbrzymia ziemia, tyle krajów, tyle ludzi, tyle ras... a wy musicie nadać jej taką nazwę żeby wszyscy ludzie byli z niej zadowoleni, żeby przyjęli ją jako swoją, a nie narzuconą sobie, bo wszakże ziemia jest wspólną ojczyzną ich wszystkich!

Chłopcy spojrzeli po sobie zaskoczeni. Tak w istocie, spadł na nich wielki zaszczyt, lecz i wielka odpowiedzialność.

Przez dłuższą chwilę w świetlicy panowała zupełnie cisza.

Pierwszy przerwał ją Janek:

— No... — zaczął wahająco — istnieje przecie kometa Haley'a... więc możeby...

— Co „możeby“?! — przerwał z oburzeniem Józek — może nazwiesz ją „planetą Józka“ dlatego że ja pierwszy zauważyłem, iż nie posiada nazwy?!

Chłopcy wybuchnęli śmiechem, a Józek dodał jeszcze:

— Trzeba nie mieć oleju w głowie, żeby wpaść na taki idjotyczny pomysł!

— Bardzo słusznie — potwierdził Stefek, — jeżeli już uczcić kogoś, to chyba nie siebie samego, ale swój kraj! Jabym zaproponował, żeby nazwać ziemię „Planetą Białego Orła“. Przecież jeżeli może być „Wielki Pies“, to tem bardziej może być „Biały Orzeł“.

Wielu chłopcom podobała się ta myśl, ale Fed'ka powiedział:

— To nie jest sprawiedliwe. Skąd wiesz, czy inne narody się na to zgodzą?

— Mnie się też to nie wydaje słuszne, chociaż

byłoby mi bardzo przyjemnie nadać całej ziemi taką nazwę — powiedział pan Stach. — Musimy przecież pamiętać o tem, że nazwa ta musi być jednakowo droga wszystkim narodom!

— Już mam! — zawołał Moniek. — To jest taka myśl, że sami zobaczycie, co to jest za myśl! Nazwijmy ją imieniem jakiegoś wielkiego człowieka, ale takiego wielkiego człowieka, żeby jego imię było znane i drogie na całej ziemi i żeby wszystkie narody uznały, że to jest największy człowiek na świecie!

Chłopcy zgodzili się, ale wybór okazał się bardzo trudny.

— Napoleon! — zaproponował Jasiak.

— Aj! Jakiś ty mądry! — sprzeciwił się Moniek. — Dlaczego on ma być drogi wszystkim na całym świecie?! Dla tych, których pobił, to on nie jest wcale drogi — nie bój się!

Zgodzono się po długich sporach, że tym wielkim człowiekiem, którego imię ma nosić cała ziemia, nie może być ani wojownik, ani zdobywca, tylko ktoś, kto zrobił dla wszystkich narodów coś dobrego, ale to coś tak dobrego, iż wszyscy ludzie zgodnie uznają, że on właśnie jest najgodniejszy tego zaszczytu.

Posypały się imiona wielkich lekarzy, uczonych, artystów, odkrywców, wynalazców.

Ale nie było zgody.

Każdemu z chłopców wydawało się, że „jego“ wielki człowiek jest „największy na całym świecie“ i że to, co on zrobił, było najważniejsze dla ludzkości. Spór zaostrzał się coraz bardziej i byłoby może nawet

doszło do bójki, gdyby nie interwencja pana Stacha, który powiedział:

— Moi kochani! Wydaje mi się, że od imienia jednego człowieka, choćby to nawet był naprawdę wielki człowiek, nie można nazwać całej ziemi! Każdy z was ma swojego ukochanego bohatera. A wiecie dlaczego? Dlatego, że jest on uosobieniem wszystkich jego tęsknot i pragnień. Naprzykład Józek chciałby być wielkim podróżnikiem i odkrywcą, więc zawołał „Amundsen!“, Maniek ma chorą matkę i wie, jaką usługę w jej chorobie oddał Roentgen, więc zawołał „Charles Vaillant“,¹⁾ Janek chce się uczyć o gwiazdach, więc powiedział „Kopernik!“, Stefek pragnąłby zostać muzykiem, więc uważa, że Chopin. A jeszcze inni sądzili, że należałoby uczcić majora Reed'a,²⁾ Lindbergh'a, Galileusza, Edisona, Mickiewicza, Gutenberga, Szewczenkę.³⁾ Jeśli zaś nawet taka mała świetlica nie może się zgodzić na wybór jednego człowieka, to co za kłótnie powstałyby dopiero na całym świecie!

Tak. Chłopcy musieli przyznać słusność panu Stachowi. Ale... ale to nie rozwiązywało sprawy.

Pierwszy raz odkąd świetlica świetlicą, panowała w niej tak długo głucha cisza. Chłopcy siedzieli pogrążeni w głębokiej zadumie, z głowami wspartymi na

1) Charles Vaillant — lekarz francuski, który stracił obie ręce, pracując przy roentgenie.

2) Reed — jeden z bohaterów walki z żółtą febrą.

3) Szewczenko — poeta ukraiński, cieszący się wielką czcią wśród swego narodu.

rękach i tylko Józek uderzał się od czasu do czasu pięścią w czoło, gdyż (jak twierdził) „w ten sposób przychodzą mu zawsze do głowy dobre pomysły“.

Ale „dobre pomysły“ nie przychodziły i zrozpaczony Józek po jakimś piętnastem uderzeniu zawołał:

— Panie Stachu! Może ci uczeni wcale nie zapomnieli, tylko poprostu, tak jak i my, nie mogli niczego wymyśleć?!

W tej chwili jednak drzwi świetlicy rozwarły się z rozmachem i nagle ukazał się w nich pan Piotruś, ciągnąc za rękę — Cygana!

Tak! To był Cygan! Nasz Cygan! Wyrwał się panu Piotrusiowi przerażony i dziki, jak małe leśne zwierzątko!

Gwiazdy, planety, nazwa dla ziemi — wszystko to na chwilę zniknęło i rozproszyło się i cała świetlica z jednym okrzykiem radości, jakgdyby zwałił się z niej gniotący ją od kilku miesięcy ciężar, rzuciła się ku niemu.

Napróżno Cygan wyrwał się i usiłował uciekać.

Porwano go na ręce, podniesiono w górę, huściano, całowano, wciskano mu cukierki, monety, obrazki, kolorowe papierki, a wreszcie postawiono go na stole, tak, żeby wszyscy mogli go oglądać... I wówczas Fed'ko, jakgdyby przypomniawszy sobie o czemś, pobiegł po ping-pongā i chciał się z nim bawić, zaraz, natychmiast... Ale inni także chcieli się **bawić** z Cyganem i zaczęto się już nawet sprzeczać **o to**, kto będzie pierwszy...

Cygan stał z początku cicho, przestraszony i oszomiony. Ale powoli poczynął widocznie rozumieć, bo usta jego rozchyliły się w prześlicznym uśmiechu, ukazując białe jak perełki, drobne ząbki, a czarne oczy utraciły swój wyraz zuchwalstwa i przycejanej ostrożności i stały się wilgotne i zarazem błyszczące jak gwiazdy.

I nagle Cygan pochylił się ku nam, ale już nie tym dawnym, uniżonym, lecz giętkim, wesołym i przyjacielskim ruchem powitania, wyrwał z kieszeni harmonijkę i — jak nie urźnie!

Święty Boże! Jakiś szał radosnego uniesienia ogarnął świetlicę! Chłopcy chwycili się za ramiona i tańczyli wokół stojącego na stole Cygana taką dziką, huczną i wspaniałą polkę, że aż się ściany świetlicy trzęsły.

Jeden tylko Józek nie tańczył. Od czasu przybycia Cygana stał nieruchomy, z zamglonemi oczyma, patrzący na to wszystko, co się dzieje, jak we śnie.

Ale choć nie bił się już w czoło, „dobra myśl“ rosła w nim, dojrzewała i pęczniała, że mało nie rozsądziła mu głowy i piersi z radości!

Nie mógł jej tylko uchwycić, wyrazić, wyrzucić z siebie ostrożnie, a przezornie, tak, jak się wyrzuca babkę z piasku.

I nagle — już!

— Stać! Stać! — krzyknął, wskakując na stół. I muzyka urwała się, a wszyscy stanęli wpatrze-

ni w niego w oczekiwaniu, przeczuwając doniosłość chwili.

— Panie Stachu! Czy pan nie wie... czy pan nie wie... jak jest po łacinie „braterstwo“?

— Fraternitas.

— A więc — niech żyje „Fraternitas“ — planeta braterstwa!

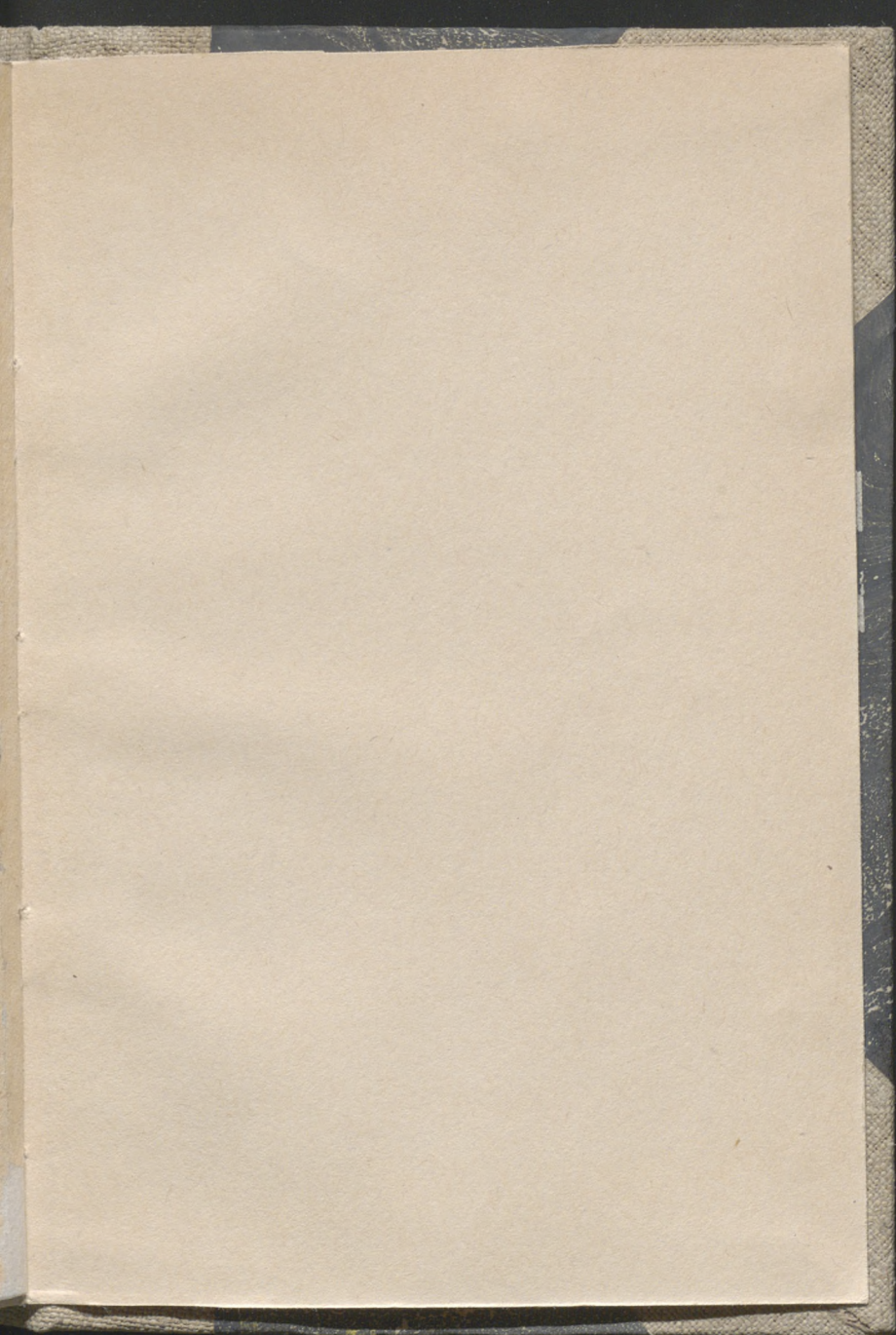
koniec

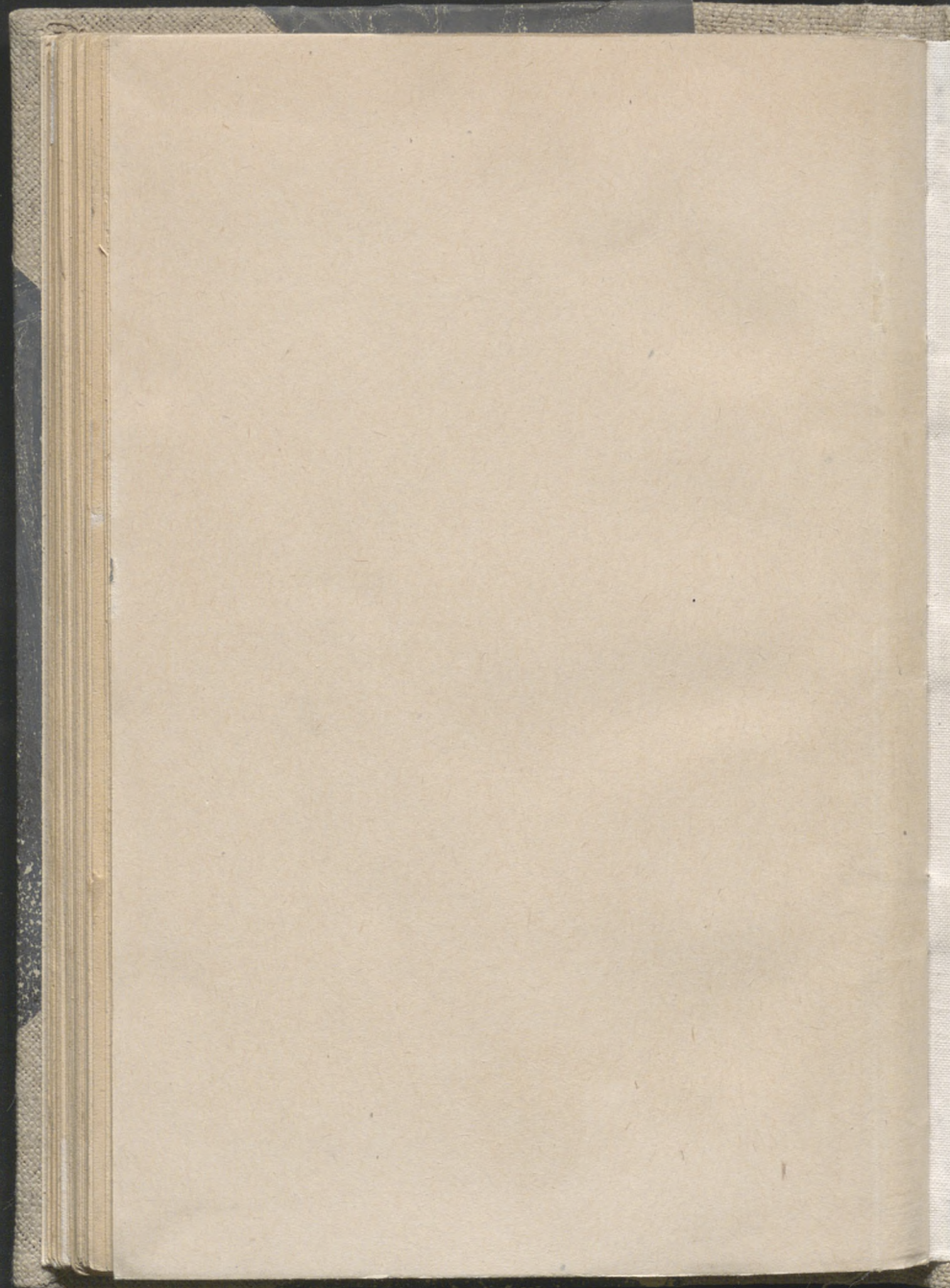


1947

CENTR. NADČ B-KA
im. J. KOLASA ANBSSR
MINSK
12. III. 90

WIS





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021129016



1467608

BIBLIOTEKA
NARODOWA